

Cena 40 gr.

LWÓW, HAUKE BOSAKA 12

15 marca 1939 r.

WYDAJEMY WE LWOWIE
65 NUMER PISMA

WIKTOR ERLICH

BRZozowski A socjalizm

APOSTOŁ CZY POGROMCA?

Trudno o pisarza, którego osoba i twórczość nastroczałyby tyle wątpliwości i kwestyj spornych, wywoływały tyle i tak namiętnych dyskusyj, jak to się dzieje ze Stanisławem Brzozowskim. Człowiek o dwoistej, targanej sprzecznościami psychice, twórca, równie zachwycający śmiałością i żarem myśli, wspaniałą pasją słowa, co drażniący natarczywym kaznodziejstwem i zawilością stylu, stać się musiał przedmiotem najbardziej rozbieżnych sądów, biegunowo sprzecznych ocen. Apostoła, czy apostata, głęboki myśliciel („sumienie intelektu polskiego”), czy utalentowany kompilator, wielki wychowawca narodu, czy zgryźliwy i natrętny „mentor” — oto bieguny, między którymi oscyluje myśl inteligencji polskiej, ilekroć zetknąć się jej wypada ze skomplikowanym zjawiskiem, któremu na imię — Brzozowski.

Ale nie tylko w ocenie twórczości autora „Idei” zarysowują się między piszącymi o Brzozowskim tak zasadnicze różnice. Nie łatwiej przychodzi krytykom dojść do porozumienia tam, gdzie chodzi o samą tylko interpretację dzieła, o charakterystykę i klasyfikację poglądów pisarza. Mglistość stylu Brzozowskiego, wieloznaczność jego programowych sformułowań, niezliczone sprzeczności ideologiczne, wszystko to utrudnia odcyfrowanie właściwej intencji autora „Płomieni”, zamknięcie w ramy zwartej definicji niesfornej, płynnej, wymykającej się klasyfikacjom myśli, torując drogę najróżniejszym domysłom, najbardziej dowolnym egzegezom.

Jako dowód tych trudności służyć może dyskusja nad stosunkiem znakomitego krytyka do socjalizmu i marxizmu, dyskusja, która toczyła się niedawno w demokratycznej prasie literackiej.

Wymianę zdań zapoczątkował Maksymilian Boruchowicz w „Albo-Albo”, pasując autora „Płomieni” na konsekwentnego szermierza i pioniera socjalizmu marxistowskiego w Polsce. Po dytyrambie przyszła kolej na próbę bezlitosnego „odbronzowienia”. Jerzy Borejsza przeciwstawił się stanowczo („Albo-albo”, „Rewelacje o Brzozowskim”; „Sygnały” (nr. 51), „Trawka Bronisława Linkego”) wywodom Boruchowicza, uznając określenie Brzozowskiego mianem marxisty — z uwagi zarówno na jego koncepcje filozoficzne (odgraniczenie się od materjalizmu dialektycznego), jak i stanowisko ideologiczne (odrzućcie zasady walki klas) — za oczywiste i szkodliwe nieporozumienie. Mieczysław Haresz w niezmiernie ciekawym artykule p. t. „Józef Piłsudski a Stanisław Brzozowski” („Sygnały”, nr. 55) mówi wprost o dokonywanej przez niektórych krytyków i publicystów socjalistycznych „aneksji” Brzozowskiego i stara się wykazać jej beprawność za pomocą cytatów z „Idei”, świadczących o krytycznym, a nawet wrogiem stanowisku autora „Legendy” wobec socjalizmu. Brzozowski nigdy socjalista, ani marxistą nie był, holdował natomiast anty-socjalistycznej ideologii „solidaryzmu narodowego”. Apostoła socjalizmu (zdaniem Boruchowicza) przeobraża się — w ujęciu Haresza — niemal w jego pogromcę.

Spróbujmy rozważyć tę kwestię możliwie obiektywnie, w oparciu o całą twórczość Brzozowskiego, o „literę” jej i ducha.

W LABIRYNCIE SPRZECZNOŚCI

Borejsza ma, niewątpliwie, słuszość, gdy w polemice z Boruchowiczem wskazuje na cechujący autora „Płomieni” brak dyscypliny myślowej, na chwiejny eklektyzm, wykluczający zgóry wszelką konsekwencję ideową. Wystarczy rzucić okiem na krętą i zygzakowaną linię ewolucji duchowej

Brzozowskiego, by uprzytomnić sobie beznadziejność prób sprowadzania rozstrzelonych wysiłków myślowych wybitnego pisarza do wspólnego mianownika ideologicznego. Człowiek, który sam określa (w „Legendzie Młodej Polski”) swą twórczość jako „pamiętnik wędrówek” po drogach i bezdrożach myśli europejskiej, który w gorączkowym poszukiwaniu prawdy o człowieku i świecie miotał się od Nietzschego ku Avenariusowi, od Kanta ku Marxowi, by wreszcie wyładować u stóp kardynała Newmana, nie mógł być konsekwentnym wyznawcą żadnego systemu myślowego, co dopiero tak surowego i zwartego jak marxizm.

Powiedzmy więcej: wbrew licznym — że użyjemy młodego terminu — „akcesom” do różnych doktryn filozoficznych i społecznych, wbrew wyraźnej zależności od myśli cudzych, nie reprezentował Brzozowski w gruncie rzeczy, jeśli chodzi o treść właściwą jego koncepcji, nikogo, poza samym sobą. Ze zdumiewającą bowiem chłonnością pisarza, z chorobliwą niemal wrażliwością na sugestie, płynące z zewnątrz szedł w parze egocentryzm intelektualny, który uniemożliwiał autorowi „Idei” wżycie się bez reszty w strukturę napotkanego w czasie wędrówki kierunku ideowego, kazać mu tłumaczyć przyswajane treści myślowe na własne, nie zawsze adekwatne kategorie, nagać je do własnych problemów. Do tej dowolności w gospodarowaniu cudzym dorobkiem przyznawał się sam Brzozowski, gdy, uprzedzając zarzuty, grożące jego nawskroś impresjonistycznemu szkicowi o twórcy empirjokrytycyzmu, oświadczał, że chodziło mu nie o „realnego”, lecz o „pomysłanego” Avenariusza.

Uwzględnienie tych szczególnych cech umysłowości Brzozowskiego musi nas zgóry, niezależnie od wyników bliższej analizy, usposobić sceptycznie wobec tezy o jego „konsekwentnym marxizmie”. Czyż mamy zatem uznać wraz z Hareszem, że wersja o marxizmie Brzozowskiego jest wyłącznie urojeniem niektórych, chorych na „kompleks niższości” publicystów socjalistycznych, szukających „nagwałt” legitymacji dla swych poglądów w „autorytecie” (czy nie zbyt często kwestjonowanym, by mógł służyć jako tarcza?) znakomitego pisarza, uznać, że ideologia socjalistyczna była zawsze Brzozowskiemu obca? Nie sądzę.

A JEDNAK — NIE „ANEKSJA”

Cytaty anty-marxowskie przytoczone w omawianym artykule, są niewątpliwie ważne i jednoznaczne. Ale wystarczy przyjrzeć się pochodzeniu tych „cytatów” (numery stronic „Idei”!), by stwierdzić rażąco jednostronność ich doboru: zarówno pozytywne (pro-solidarystyczne), jak i negatywne (anty-marxowskie) wypowiedzi programowe, przytoczone przez Haresza, zaczerpnięte są ze studjów filozoficznych, jak np. „Anti-Engels”, pochodzących z ostatniego okresu działalności Brzozowskiego, pisanych więc po oficjalnym zerwaniu z ideologią — świadomie używamy narazie określenia ramowego — radykalizmu społecznego. Ten cząstkowy „materiał dowodowy”, obejmujący jeden tylko etap ewolucji ideowej pisarza wystarcza najzupełniej dla obalenia tezy Boruchowicza, że Brzozowski w socjalizmie „wytrwał do końca”, nie uprawnia jednak do zbyt pośpiesznych uogólnień (zarówno in plus, jak in minus), do wysnuwania wniosków w odniesieniu do całej twórczości ideologii Brzozowskiego.

Słusznie zauważył Borejsza, że gdy chodzi o Brzozowskiego, postępowanie się samymi tylko cytatami jest bronią zawodną i zdradliwą; każde niemal, choćby najbardziej ważne i stanowcze sformułowanie programowe, przytoczone przez komentatora, da się „neutralizować” innym, nie-

mniej autentycznym cytatem. Gdyby Haresz zajrzał do wcześniejszych nieco, bo pochodzących z lat 1906—9, studjów filozoficznych i literackich Brzozowskiego drukowanych bądź w „Ideach”, bądź też w „Kulturze i życiu”, lub do pisanych w tym samym okresie artykułów publicystycznych, natrafiłby na twierdzenia, biegunowo sprzeczne z temi, które cytuje:

Ale nie bądnymy głoślowni.

„...Dziś socjalizm, ten światopogląd, który zawdzięcza swe pierwsze sformułowanie genialnemu nauczycielowi naszemu — owo nieścisłe zwane materjalistyczne pojmowanie dziejów — jest jedynym wytrzymującym krytykę myślową, jedynym zdolnym ująć całe bogactwo treści światopoglądem” („Antonio Labriola”, „Świt”, 1907). — „Socjalizm i nauka, socjalizm i kultura, socjalizm i sztuka — to jedno” (tamże).

„Materjalizm ekonomiczny jest nie rzeczeniem się tradycyj humanistycznych, lecz ich najwyższym wykwiem, formą najzupełniejszą, najgłębszą i najlogiczniejszą humanizmu” (tamże, str. 286). „Marxizm jest jedyną konsekwentną metodą empiryzmu społecznego” („Kultura i życie”, str. 287).

Te tchnące isticie wyznawczym entuzjazmem nie tylko dla „osoby Marxa”, lecz i dla jego dzieła wypowiedzi — a moglibyśmy je mnożyć bez końca — są chyba dostateczną podstawą do stwierdzenia, że przypisywanie Brzozowskiemu cech marxisty nie jest gwałtem, popełnianym na Bogu ducha winnym pisarzu: w przeciągu kilku lat, obejmujących najbardziej bogaty i płodny okres działalności pisarskiej Brzozowskiego, deklarował się autor „Idei” jako gorący zwolennik socjalizmu marxowskiego.

MARX REALNY A „POMYŚLANY”

Zgodnie jednak ze sformułowaniami poprzednio zastrzeżeniami wobec „akcesów” Brzozowskiego, nie możemy poprzestać na stwierdzeniu, że pisarz się za marxistę uważał. Musimy poddać analizie autentyczność koncepcji marxistowskich autora „Legendy”, czyli przejść do zagadnienia najważniejszego, które, używając terminologii Brzozowskiego, określilibyśmy można jako problem stosunku „pomysłanego” przezeń Marxa do Marxa realnego.

„Marxistą ortodoksalnym — powie Brzozowski w przedmowie do „Idei”, pisanej po ostatecznym rozstaniu z marxizmem — nie byłem nigdy; wszedłem do marxizmu od strony jego krytycznych zwolenników”.

Na czym polegał ten „krytycyzm”? Przedewszystkiem na zdecydowanym odgrzaniu się od materjalizmu filozoficznego, w którym autor „Płomieni” widział nową odmianę metafizycznego dogmatyzmu. Zdaniem Haresza to stanowisko filozoficzne równoznaczne jest z anty-marxizmem. Albowiem — czytamy w jego artykule — „marxizm — to materjalizm dialektyczny, to przyjęcie wszystkich konsekwencji, z materjalizmu dialektycznego wypływających”.

Nie mamy tu miejsca na roztrząsanie skomplikowanej kwestji stosunku wzajemnego marxizmu i filozofji materjalistycznej. Stwierdzimy narazie, że sformułowana przez Haresza tradycyjna, bo wywodząca się ze szkoły Plechanowa-Lenina teza o ideożności marxizmu z materjalizmem dialektycznym traci już nieco myszką. Po pomnikowych studjach „neo-kantysty” Maxa Adlera, które dały myśli socjalistycznej nierównie więcej, aniżeli prace niejednego „ortodoksy”, nie powinniśmy chyba żądać od każdego adepta marxizmu przysięgi na ewangelję materjalizmu dialektycznego. We współczesnym ruchu socjalistycznym upowszechnia się coraz bardziej przekonanie, że mimo niezaprzecznego związku genezy, który łączy materjalizm dziejowy

z filozoficznym, są to struktury myślowe zgola niewspółmierne, w różnych leżące płaszczyznach. Marxizm nie jest światopoglądem, czyli systemem myślowym, obejmującym całość doświadczenia ludzkiego, dążącym do rozstrzygnięcia zagadnień bytu — ze swej istoty pozanaukowych, metafizycznych, jak problem stosunku między duchem a materją — lecz nauką o ściśle ograniczonym przedmiocie i zasięgu, nie filozofją, lecz socjologją, a raczej — metodologją badań społecznych.

Materjalistyczne pojmowanie dziejów nie jest — wbrew nazwie, która ma, jak sądzę, uzasadnienie raczej historyczne, niż merytoryczne — przeniesieniem doktryny materjalizmu na grunt nauk społecznych, lecz autonomiczną w stosunku do wszystkich kierunków filozoficznych strukturą myślową. Nie chciałbym być źle zrozumiany: nie proklamuję bynajmniej „wszechtotalerancji” filozoficznej. Jasną jest rzeczą, że kauzalizm i empiryzm, na których opiera się dialektyka marxowska, wykluczają możliwość kompromisu między materjalizmem dziejowym a systematami metafizycznospekulatywnymi.

Ale w tem miejscu napotykamy, wracając do Brzozowskiego, na poważny szkopuł. Założmy — powiada Borejsza, — że marxizm da się pogodzić z filozofją neokantyzmu (np. Maxa Adlera), ale Brzozowski był przecież solipsystą, a więc zwolennikiem najskrajniejszego idealizmu. Czyż można zatem brać poważnie jego marxizm?

Mamy tu do czynienia z widocznym nieporozumieniem. Nie zamierzam bynajmniej kruszyć kopji w obronie filozofji Brzozowskiego, ale trzeba stwierdzić obiektywnie, że autor „Idei” — od pierwszych chwil swej działalności pisarskiej bezdroża solipsyzmu szczęśliwie omijał. Borejszę wprowadziły, jak widać, w błąd częste w studjach filozoficznych Brzozowskiego sformułowania o posmaku napozór subiektywistycznym, w rodzaju: „Poza człowiekiem nic нема”. Jeśli jednak włączymy te wypowiedzi w kontekst ogólny twórczości pisarza, zauważymy, że wyraz „człowiek” oznacza w terminologii Brzozowskiego nie jednostkę, lecz zbiorowość ludzką, gatunek biologiczny, że mówiąc „nic нема”, nie zaprzecza autor „Legendy” realności świata pozaludzkiego, lecz — jego poznawalności. Toteż cytowane twierdzenie da się zredukować do tezy, która przewija się — w różnych odmianach słownych — przez wszystkie niemal koncepcje teorjopoznawcze Brzozowskiego w epoce „marxizmu”: „rzeczywistością jedynie dostępną człowiekowi jest działalność społeczna ludzkości” („Dzieła zbiorowe” t. VI, str. 204—5). Teza ta — nie wchodzący teraz w jej merytoryczną słuszość — odbiega daleko od solipsyzmu, który odmawia obiektywnego bytu nie tylko przyrodzie, ale i społeczeństwu, uznając za jedyną rzeczywistość psychikę jednostki. Znajdujemy się tu raczej w kręgu myślowym empirjokrytycyzmu, widzącego w nauce „społecznie zorganizowane doświadczenie”, lub neokantowskiego agnostycyzmu, który zaciążył wogóle bardzo mocno na myśli filozoficznej Brzozowskiego — „marxisty”.

Nie zamierzamy tu roztrząsać kwestji, w jakiej mierze dają się te stanowiska filozoficzne pogodzić z marxizmem. Ograniczę się narazie do stwierdzenia, że nie jeden „notoryczny” marxista starał się oprzeć teorję materjalizmu dziejowego o neokantyzm, czy neopozytywizm Avenariusza. Rzecz inna, że autor „Idei” stanowi w literaturze socjalistycznej swego rodzaju unicum z uwagi na eklektyczną mnogość systematów, które u niego usiłował równocześnie uzupełniać dialektykę marxowską, co musiało wywołać chaos w podbudowie teoretycznej konstrukcji ideowych Brzozowskiego-socjalisty. Tak czy inaczej, kwestja stosunku Brzozowskiego do marxizmu na płaszczyźnie filozoficznej rozstrzygnąć się nie da. By zdać sobie sprawę ze stosunku, w jakim pozostaje myśl pisarza względem tego, co nazwaćby można, wślad za Cole’m „istotnym sensem marxizmu” — trzeba się przenieść na grunt socjologii i historjografji, scharakteryzować pokrótce dokonaną przez Brzozowskiego transpozycję materjalizmu dziejowego.

„FILOZOFJA CZYNU“

Myśliciel śmiały i ambitny, który prze-dzierał się przez gąszcz przeżytków in-telektualnych ku czyniłej żądzie wymogom myśli europejskiej filozofii dziejów, ujrzał w marksowskiej „algebrze rozwoju społecz-nego“ (Plechanow) płodną i skuteczną „me-todę pracy“, otwierając 1ozległe perspek-tywy na całość życia społecznego i kulta-ralnego. Pogromcy dogmatyzmu „filozofji bytowej“ ukazała się dialektyka, demasku-jąca bezlitownie klasową genezę prawd rzeko-mo odwiecznych i bezwzględnych jako „akt emancypacji życia spod władzy form pojęciowych, zapomocą których je ujmuje-my“ („Idee“, „Materializm dziejowy jako filozofja kultury“). Tem jednak, co pociąg-nęło w materializmie dziejowym Brzozow-skiego-ideologa i humanistę, było nietyłe przeniesienie na grunt socjologii zasady przyczynowości, ile zespolenie trzeźwej i wnikliwej analizy z niezłomną wolą prze-kształcenia świata, wyznaczenie człowieko-wi czynnej roli w procesie społecznym. Cen-tralnym bowiem zagadnieniem pracy myślo-wej Brzozowskiego było nie „poznanie bytu“, wyjaśnienie rzeczywistości, z czego zgóry rezygnował, ale „stworzenie człowieka“ — dźwignięcie go do życia świadomego i czyn-nego. Rozwiązania tego problemu nie mógł autor „Idei“ znaleźć w tchnącej bezsilnym pesymizmem filozofji mieszczańskiej „koń-ca wieku“. Prądy, ścierające się zaciekle w umysłowości ówczesnej inteligencji pol-skiej, a spokrewnione, mimo sprzecznych za-łożeń wspólnem poczuciem niemocy — naturalizm pozytywistyczny i indywidua-lizm metafizyczny — degradowały człowie-ka do roli bądź biernego obiektu konieczno-ści przyrodniczej, bądź też bezwolnego na-rzędzia siły nadprzyrodzonej. Wyjście ze ślepego zaułka „bezdziejowości“ mogła wskazać Brzozowskiemu jedynie nauka, bę-dąca wykładnikiem dążeń młodej, kroczą-cej w przyszłości klasy, ufnej w swoje i ludzkości siły proletariatu. Materialisty-czne pojmowanie dziejów, które, uznając zależność człowieka od środowiska społecz-nego i przyrodniczego, akcentuje jednak sil-ne znaczenie działalności ludzkiej, stało się dla Brzozowskiego „filozofją czynu“ („Idee“), „metodą świadomego działania“. Wizja swobodnej, rządzącej sobą ludzkości, która z niewolnicy konieczności ekonomicz-niej przeistacza się w jej pania, przez pod-danie życia gospodarczego swej świadomej woli, wizja, której dał wyraz Engels w słyn-nej formule: „skok z państwa konieczności do państwa wolności“, ukazała się autorowi „Legendy“ jako urzeczywistnienie tęsknoty jego do renesansowej pełni życia, jako obja-wienie tkwiących w człowieku możliwości twórczych. Człowiek nie jako narzędzie władających nim sił, lecz istota czynna, własnym wysiłkiem stwarzająca dzieje, „ludzkość jako własne, świadome swe dzie-ło“ („Idee“) — oto, według Brzozowskie-go, najgłębszy sens materializmu dziejo-wego.

W porównaniu z wypowiedziami mia-rodajnych przedstawicieli socjalizmu nauko-wego uderza tu wyraźne przesunięcie ak-centów, zmiana hierarchji zagadnień. W ujęciu tem przeistacza się socjalizm z wizji nowego ustroju w problem przebudowy psy-chiki, z ideologii społecznej w nakaz mo-ralny; materializm dziejowy z nauki o ob-iektywnych przesłankach czynu — w czynu tego gloryfikację. Zgodnie z normatywnem skierunkowaniem myśli Brzozowskiego prze-suwa się punkt ciężkości nowego systemu, opartego o koncepcje marxizmu, z dziedziny teorii — przyczynowego poznania, w sfe-rę praktyki — moralności.

HUMANIZM SOCJALISTYCZNY

Że z impresjonistycznych, pełnych sub-iektywnych dowolności definicji Brzozow-skiego uczyć się marxizmu niepodobna — to pewne. Że sformułowania autora „Idei“ dają najczęściej słabe tylko wyobrażenie o strukturze myślowej materializmu dzie-jowego, a niejednokrotnie i o jego przed-mocie, jest również faktem niezaprzeczal-nym. Czy jest jednak dokonana przez Brzozowskiego woluntarystyczna transpozycja teorii marksowskiej — sama przez się — wypaczeniem założeń socjalizmu naukowe-go, zeskaмотowaniem jego najistotniejszej treści, jak chce Boreisza? Nie sądzę.

Nie jest bowiem rezultatem mylnego zrozumienia materializmu dziejowego upar-te akcentowanie dynamicznego charakteru myśli marksowskiej, skoro sam twórca so-cjalizmu naukowego za jeden z najistotniej-szych czynników dokonanego przez się w myśli społecznej przewrotu uznawał za-stąpienie filozofji, interpretującej rzeczy-wistość filozofja czynnej przebudowy świa-ta („Dawniej filozofowie tylko to tłumaczyli świat w różny sposób, dziś chodzi o to, by go zmienić“). I nie są świadectwem obości Brzozowskiego wobec dążeń wyzwoleńczych socjalizmu, piękne słowa z „Antonio La-briola“ („Świt“, 1907): „Myślcie o człowie-ku najwyżej, najdumniej, najszczętniej... tego żąda od Was światopogląd socjalistycz-ny“. Dziś zwłaszcza, gdy ruch socjalistycz-ny, nie wyrzekając się bezcennej busoli dia-lektyki marksowskiej, uprzytamnia sobie co-raz wyraźniej znaczenie „imponderabiliów“, gdy staje się on w obliczu ofensywy faszys-towskiego barbarzyństwa jedynym spadko-biercą humanistycznego dorobku kultury europejskiej, nie możemy być obojętni wobec przenikającego publicystykę Brzozow-skiego niesfalszowanego patosu humanizmu socjalistycznego. I nie mamy powodu do za-pisywania na konto wrogich socjalizmowi prądów ideowych wszystkich wysiłków my-słowych tego, który lepiej i wcześniej od wielu „klasycznych“ socjalistów rozumiał,

że „materializm historyczny nie jest... za-przeczeniem tradycyji humanistycznych, lecz... najwyższym wykwitem humanizmu“.

Innego zdania jest Haresz. „Moment apelacji — czytamy w jego artykule — do godności ludzkiej, do indywi-dualnych wartości etycznych jest charakte-rystyczny dla wszelkich kierunków solida-rystycznych: przecież i faszyzm i hitleryzm od tego zaczynały swoją karierę życiową“.

Twierdzenie to słuszne jest tylko w czę-ści. Nie da się zaprzeczyć, że momenty etyczne zajmują poczesne miejsce w ofi-cjalnej frazeologii kierunków solidarystycz-nych, które, nie wyłączając faszyzmu, sta-rają się ramowemi i wieloznacznemi w swej istocie nakazami moralnemi zastąpić kon-kretne rozwiązania społeczne, ukryć swe klasowe, kapitalistyczne oblicze pod maską wzniosłych ideałów: stąd poważne niebez-pieczestwo myślowe, jakie zagraża ideo-logom, opierającym swój radykalizm spo-łeczny wyłącznie czy głównie o wartości mo-ralne. Niebezpieczeństwa tego nie potrafił się Brzozowski ustrzec, skoro głębokie prze-miany psychiczne i nowe wpływy ideowe skierują myśl jego ku nacjonalizmowi (pod-kreślamy przy okazji, że nacjonalizm ten, czy — że użyjemy określenia Haresza — „solidaryzm narodowy“ nie był „rdzeniem pozytywnej myśli“ całego dorobku Brzozow-skiego, lecz ostatnim etapem jego dłu-go-trwałej ewolucji ideowej). Z tego bynaj-mniej nie wynika, że w samym humanizmie Brzozowskiego należy się dopatrywać zna-mion ideologii solidarystycznej. Dziś, po kilkunościeletniem doświadczeniu rządów faszystowskich, w obliczu zbrodni hiszpań-skich nie trzeba dowodzić, że „apelacja do godności ludzkiej“ jest w ustach nowoczes-nych rzeczników „solidaryzmu“ obłudą i oszustwem, skoro faszyzm oznacza w praktyce brutalne podeptanie godności, sponiewieranie człowieczeństwa. I nie trze-ba chyba dodawać, że jedynym obozem spo-łecznym, dla którego hasła te nie są ma-newrem politycznym lecz istotnym drogo-wskazem i celem walki jest zmagający się z reakcją faszystowską socjalizm.

CZY INDYWIDUALIZM

Swoisty „antropocentryzm“ Brzozow-skiego kaže Hareszowi dopatrywać się w „Płomieniach“, powieści, uważanej naogół za dowód łączności pisarza z ideologją socjalistyczną, cech indywidualizmu.

„...Płomienie... to piękny epos bohater-stwa indywidualnego, przepojony kultem mocnej jednostki. Powieść nawskroś indy-widualistyczna, ale — powtarzamy — nie socjalistyczna“...

„Epos bohaterstwa indywidualnego“? Zapewne. Rzecz w tem jednak, że trady-cyjna antyteza: indywidualizm — socja-lizm okazuje się tu, jak w wielu innych wy-padkach, zawodna. Pod nazwą bowiem indy-widualizmu zwykliśmy łączyć różne zgo-lą postawy duchowe. Jedna tyko z nich — określibym ją mianem indywidualizmu ce-lów — stanowi bezwzględne zaprzeczenie so-cjalizmu. Idzie tu — ujmując sprawę, oczy-wiście, zgrubszą — o arystokratyczną po-gardę dla tłumu, traktowanego jako „mie-so armatnie“, dla wysiłków duchowych wy-bitnej jednostki, narzędzie do osiągnięcia „wyższych“, niezrozumiałych dla „motłó-chu“ celów, idzie o przekonanie, że droga do pełni rozwoju indywidualnego prowadzi nie szerokim szlakiem walki o ideały zbiorowe, lecz stromą ścieżką samotnych wtajemni-czeń. Indywidualizm metod, sformułowany najdobitniej przez Czarowica („Róża“) w słynnych słowach: „Dla was, lecz bez was“, bliższy jest znacznie ideologii socja-listycznej, lecz różni się od niej zasadniczo — niewiara w celowość wysiłku zbiorowego. Ale prawdziwem nieporozumieniem wydaje mi się przeciwstawianie socjalizmowi posta-wy duchowej, którą nazwałbyśmy indywidu-alizmem motywów działania, a z którą ma-my tu najwidoczniej do czynienia (zdaje się, że o ten właśnie gatunek indywidualizmu chodzi Hareszowi).

Na czem ta postawa w naszym wypad-ku polega? Na tem przecież — o ile dobrze rozumiem Haresza, — że widziany oczyma Brzozowskiego czyn heroiczny rycerzy „Narodnej Woli“ tkwi korzeniami w indy-widualnym odruchu moralnego sprzeciwu, że bohaterowie „Płomieni“ szukają w walce rewolucyjnej przedewszystkiem realizacji własnych pragnień i tęsknot etycznych, a więc indywidualnego wyżycia się. Obser-wacja w znacznej mierze słuszna, ale wnio-szek, jaki wysuwa z niej Haresz („powieść niesocjalistyczna“) — błędny.

Socjalizm marksowski — w najbardziej nawet „ortodoksyjnym“ wydaniu — nie u-waża bynajmniej świadomości klasowej za jedyny motyw działania rewolucyjnego; protest moralny przeciw „zastanej“ rze-czywistości przemocy i krzywdy był jedną z najpotężniejszych dźwigni walki o nowy ustrój od pierwszych chwil istnienia ruchu socjalistycznego, i pozostaje nią do dnia dzisiejszego. Czyż nie jest głównym ośrod-kiem twórczości największego pisarza re-wolucyjnego naszych czasów, epika Hisz-panji ludowej, André Malraux — jednostka, zmagająca się z tragicznym problemem czy-nu? Albowiem wszelki heroizm, choćby po-częty w atmosferze zbiorowego wysiłku, choćby oskrzydłony wizją powszechnego szczęścia, jest — w ostatniej instancji — sprawą jednostki, napięciem woli indywi-dualnej.

„Póki choć jeden człowiek ginie — mó-wi bohater „Płomieni“ — póki choć jedno życie wedeptane jest w błoto, nie można żyć... jak tylko walczyć“. Słowa te mogliby wypisać na swym sztandarze bojownicy austrjackiego Schutzbundu, którzy wyszli z bronią w rękę na ulice Wiednia i Linzu,

by w nierównej, tragicznej walce uratować honor socjalizmu światowego, by aktem bo-haterskiego oporu wobec przemocy ocalić w sobie człowieka, dać naprzekór faszystow-skim „czasom pogardy“ — świadectwo prawdzi braterstwa.

Nie chcemy bynajmniej twierdzić, że „Płomienie“ są dowodem marxizmu Brzo-zowskiego; ze względu na swą tematykę (czas akcji) i klimat duchowy reprezentuje powieść ta raczej przedmarxowski okres ru-chu socjalistycznego. Ale przenikająca utwór atmosfera żarliwej ekstazy rewolu-cyjnej jest niezbitem świadectwem przeje-cia się patosem moralnym socjalizmu.

KŁATWA ABSTRAKCI

Nie był więc rzekomy „indywidualizm“ Brzozowskiego, mimo odchyłeń od proble-matyki marxizmu, głównem niebezpieczeń-stwem, zagrażającym koncepcjom socjali-stycznym pisarza. Zaryzykowałbyś nato-miast odwrotne, paradoksalne napozór, twierdzenie: autor „Legendy“ nie mógł być integralnym socjalistą nie dlatego, że był zbyt wybujałym „indywidualistą“ (w wyżej wspomnianem już znaczeniu tego sło-wa), lecz z tego przedewszystkiem względu, że był w swym indywidualizmie, powiedzmy raczej — humanizmie, zbyt mało konsek-wentny.

Te głęboko sięgające rysy, jakie poja-wiają się na humanistycznym światopogląd-zie Brzozowskiego, zawdzięczają swe po-wstanie sprzecznościom, tkwiącym w natu-rze i umysłowości wybitnego pisarza. Po-gromca złudzeń świadomości „intelligen-ckiej“, przedzierający się poprzez oderwane konstrukcje ideowe ku konkretni dialekty-ki marksowskiej, nie potrafił się wyzwolić bez reszty spod wpływu filozofji burżuazyj-nej, wyzbyć się, będącej klątwą intelektual-alistów mieszczańskich, abstrakcyjności myślenia. Ten właśnie charakter myśli Brzo-zowskiego uniemożliwił mu wzięcie się w konkretne problemy społeczno-polityczne, związane z ideologją socjalizmu, przede-wszystkiem zaś — przemyslenie klasowego stanowiska marxizmu; on też sprawił, że zażarty przeciwnik „mitologizującego“ in-tektualizmu nie mógł się obejść bez mitu, jakim się stała w systemie Brzozowskiego wyolbrzymiona dorozmiarów fetysza — praca.

Po krótkim okresie całkowitego niemal zsolidaryzowania się z klasowemi dążeniami proletariatu socjalistyczna koncepcja wy-zwolenia klasy robotniczej ustępuje miejsca mglistej „gloryfikacji pracy“, uznającej wysiłek mięśniowy, który stwarza „nasze podstawy w bycie“, za wartość najwyższą, niezależnie od warunków, w jakich proces ten się odbywa. Nie idzie tu już o stworze-nie na gruncie nowego ustroju gospodar-czego braterskiej wspólnoty wolnych i rów-nych ludzi, lecz o przeniknięcie proletarju-szy ludnym poczuciem mocy, co wzmoże wydajność pracy, potęgując w ten sposób siły biologiczne ludzkości.

Wytwórczość materialna, uznana przez marxizm za istotę więzi społecznej, za deter-minant rozwoju dziejowego, rozpatrywana więc w kategoriach przyczynowego pozna-nia, przeistacza się u Brzozowskiego w miarę wartości, podstawę do skali ocen.

Wytwarza się sytuacja napozór para-doksalna: gdy socjalizm marksowski podkre-śla pierwszorzędne znaczenie struktury ekono-micznej, by poprzez uświadomienie i opa-nowanie konieczności gospodarczej wyzwo-lić nieprzebrane zasoby energii ludzkiej dla twórczości duchowej, Brzozowski, który po-tępiał „fatalizm“ marxistów ortodoksyj-nych, który powtarzał za Kantem, że „czło-wiek nie może być środkiem, bo jest sam sobie celem“, dochodzi do uznania walki z przyrodą za cel kultury, w wydajności pracy widzi nie przesiankę materialną roz-woju jednostki, lecz najwyższy kres jej wy-siłków. Apostoł „bezwzględnej swobody“ za-wiesza nad ludzkością ponury, ascetyczny mus nieustannej pracy, wymowny herold humanitaryzmu podporządkowuje człowieka molochowi wytwórczości. W tej antynomji — ograniczam się tu do czynników psy-chologicznych — dopatrywać się należy, jak sądzę, najistotniejszej przyczyny rozstania się Brzozowskiego z socjalizmem.

Od fetyszyzmu produkcji jeden tylko krok do kształtującej się pod wpływem So-rela i Bergsona ideologii solidaryzmu spo-łecznego; krok ten wyprowadzi autora „Idei“ poza granice najszerzej pojętego marxizmu.

PIONIER SOCJOLOGIZMU

Staraliśmy się wykazać, że postawa ideowa Brzozowskiego w omówionym przez nas okresie, choć różni się w całym szeregu punktów od marxizmu integralnego, rozbu-dowuje z właściwym pisarzowi rozmachem niejeden watek myśli marksowskiej, zawiera wiele elementów dla socjalizmu współczes-ne-go cennych i zapładniających.

Jeśli jednak koncepcje teorjopoznawcze i w ścisłem znaczeniu słowa, ideowe Brzo-zowskiego, stanowią mimo śmiałości nie-jednej konfrontacji, mimo trwałej wartości wychowawczej wielu wskazań — przede-wszystkiem spłot sprzeczności i nierozwią-zalnych zagadnień, posiada dla nas nierów-nie większą wagę inną, często niedoceniana dziedzina pracy myślowej pisarza — doro-bek jego w zakresie filozofji kultury i kry-tyki literackiej.

Na tych terenach, na których badania immanentne wzięć musiały górę nad jałową spekulacją metafizyczną, okazała właściwą miarę swej sprawności sięgająca wytrwale do korzeni wizjawiś metoda dialektyki marksowskiej. W śmiałych rzutach historjo-zoficznych, w odkrywczych analizach socjo-logicznych kultury intelektualnej zabłysnął w całej pełni wyostrzony zmysł historycz-

ny, wyczuwający w każdej epoce podskórny nurt twórczości dziejowej.

Jeśli w zakresie socjologii i filozofji ograniczała się praca Brzozowskiego do — czasem udatnych, częściej chybionych prób rewizji sformułowanych już na gruncie pol-skim założeń, odegrał autor „Płomieni“ w dziedzinie historjografji, przedewszystkiem zaś krytyki literackiej rolę prawdziwie pio-nierską. W czasie, gdy polska myśl krytycz-na miała się między filologiczną pedan-teorją a nieokiełznanym subiektywizmem, dźwignąć usiłował pracę nad literaturą ku wyżynom umysłowości europejskiej, oprze-ć ją o socjologiczną interpretację faktów ar-tystycznych. Ukazując poza formacją kul-turalną proces społeczny, z którego forma-cja ta wyrasta, wskazał badaczom litera-tury realne wyjście z impasu estetyzującej tautologii. Coprawda, nie zdołał Brzozowski wypracować, mimo rzetelnych wysiłków — konkretnego i jednoznacznego sprawdzianu krytycznego, nie ustrzegł się i na tym te-renie od niejasności i werbalizmu. Ale choć terminologję marksowską osłabił i „rozwod-nił“, choć wprowadził obce materializmowi dziejowemu probieże oceny, polska krytyka marxistowska zawdzięcza mu niejedno.

Kapitałne, pełne pasji i zabójczego sar-kazmu karty poświęcone Sienkiewiczowi, służyć mogą jako wzór rewolucyjnego „od-kłamywania“ fetyszów reakcji burżuazyjnej, przez demaskowanie klasowych źródeł ich twórczości. Uderzające trafnością sformu-łowania analizy romantyzmu i Młodej Pol-ski jako społecznie uwarunkowanych for-macyj duchowych są po dziś dzień wymow-nem świadectwem płodności metody socjo-logicznej, stosowanej subtelnie i umiejęt-nie.

WNIOSKI

Dobiegliśmy do końca naszych rozwa-żań; czas na sformułowanie wniosków naj-ważniejszych.

Nie był i nie mógł być Brzozowski marxistą konsekwentnym, ale negowanie związków łączących go z socjalizmem, jest rażącym uproszczeniem sprawy.

Nie obciążamy polskiej myśli socjali-stycznej ładunkiem sprzeczności i niekon-sekwencji, słabości i załamania myśliciela, który, dźwigając się ku prawdzie marxizmu, nie potrafił przezwyciężyć wpojonych przez środowisko przesądów i nalogów. Nie dajmy się zwieść grzmiącej retoryce apostrof, przepychowi słowa i gestu, maskującym na-zbyt często brak zwartej i sprecyzowanej treści ideowej. Ale pełni uzasadnionego kry-tycyzmu wobec łamańców myślowych tra-gicznego pisarza, nie zamykajmy oczu na to, co jest w jego puściźnie wartością trwa-łą i żywotną. Nie lekceważmy płodnych su-gestyj i podnień, jakie płyną ku nam od prężnej i chłonnej, śmiałej i czujnej myśli Brzozowskiego.

Wiktor Erlich

JUOZAS KEKSZTAS

Szkice jesienne

PIEŚŃ NA JESIENNYM WIETRZE

Trudno ci życie zimne i nieugięte wlec. Gdy w bezkres oczyma podążasz, widzisz prawdę na krzyżu rozpiętą w niewysłowionem cierpieniu świat grążąc.

Zawczasie mijasz, lato, zawczasie

Wiatr życia pieśni złowrogiej chustę wzbil, leąc, leąc poźółtkę pieśni —

pusto

CZŁOWIEK WŚRÓD NOCY

W zaduszną noc niezliczonymi oknami płonie miasto cmentarne przed nami, a jesień dusze, rozpylone w migocącej toni, kropi rzewnemi łzami.

Wśród ciemnych wieżyc zbłąkany człowiek wyje z wilgotnej, zapadłej grotty —

na widnokręgu księżyc czarny opadł na ostry gotyk.

A JEDNAK

Czasami w historii radości i szczęścia wiek szalony pozbawia ziemię. Lecz usta swe zatnij. Powróci szczęście. Wróci i dzień, ukochane twe brzemię.

Prawdą wyraźną w kłam niewyraźny [bij rażno, a twardą krzywdę wolą zgnieciesz żelazną! przełożyła z litewskiego W. G ó r s k a

* * *

W poprzednim (64) numerze „Sygna-łów“ z dnia 1 marca: Stanisław Baczynski: Sprawa dziecka w literaturze. — Marian Czuchnowski: Scena, aktor i — klapa. — Franciszek Bartoszek: Sztuka pod dykta-turą. — Paweł Konrad: Dwie perspektywy. — Juliusz Wit: Budowa domu. — Stefan Tudor: Kilka uwag wzruszonych o genju-szu. — Józef Płonski: Karel Czapek. — Herman Sternbach: Powieść o Lermontowie. — Zygmunt Jarosz: Zagadnienia religijne. — Franciszek Gil: Teatr Gacaków. — Bo-leśław Dudziński: O nowem prawie niemiec-kim. — Jerzy Pański: Teatry warszaw-skie. — Jerzy Putrament: Ucieczki ze śle-pych torów. — Leon Strakun: Z wystaw warszawskich. — 8 ilustracyj. 8 stron.

ZYGMUNT JAROSZ

PARASOLI BUFOR

„Viva l'ombrello!“ „Niech żyje parasol!“ takim entuzjastycznym okrzykiem witały Chamberlaina w Rzymie faszystowskie tłumy. Ile świadomej drwiny kryło się w dwu krótkich słowach? Parasol premjera Wielkiej Brytanji nie nazbyt efektywnie prezentował się przeciwko czarnej gwardji Mussoliniego. Niewinne narzędzie, które pozornie uchroniło świat przed krwawym deszczem podczas gorących dni wrześnieowych ubiegłego roku, w rzeczywistości stało się symbolem polityki ustępstwa wobec szantażu wojennego państw imperjalistycznych. Nie pomoże też wielkiemu udziałowcowi „Imperial Chemical“ groźne wymachiwanie niegroźną bronią. Parasol zawsze pozostanie parasolem. Cóż stąd, że pierwszym ministrem brytyjskim, z którym mr. Chamberlain odbył narady natychmiast po powrocie ze swej rzymskiej wizyty, był minister lotnictwa? Cóż stąd, że bezpośrednio po tej wizycie, „Home Fleet“ wypłynęła z portów na wielkie manewry śródziemnomorskie? Nie brakło podobnie mocnych akcentów i przed kapitulacją w Monachjum. I wówczas rząd chamberlainowski z podejrzaną egzageracją i hałasem zaczął się naraz krzątać koło obronnych przygotowań przeciwlotniczych Wielkiej Brytanji. I wówczas „Home Fleet“ wyruszyła z macierzystych portów na Morze Północne. Ale rozbiór Czechosłowacji był już sprawą zdecydowaną.

Naturalnie, wydatne zwiększenie angielskiego budżetu zbrojeniowego, nie może być uważane za zwykły manewr „monachijczyków“ czyli za t. zw. „strachy na lachy“. Sztaby generalne posiadają daleko idącą autonomję w swych dezyderatach. Ale pólki Chamberlainowie i Daladierowie pozostają u władzy, póty nie przestaje grozić Europie nowe Monachjum. — Point de réveries! Trzeba się starać przewidzieć, który zakątek globu ma zostać dotknięty następnym podziałem. O jakie Monachjum może chodzić w najbliższej przyszłości: śródziemnomorskie, środkowoeuropejskie, kolonialne?

Stwierdźmy przedewszystkiem, że nieukończona jest jeszcze historia pierwszego Monachjum. Ruś Zakarpaska ma przecież odegrać rolę wielko-ukraińskiego Piemontu. Interesy obu imperjalizmów, niemieckiego i włoskiego, nie pokrywają się bez reszty w naddunajskim basenie. Ale od czasu zagarnięcia Austrii przez Trzecią Rzeszę, coraz wyraźniejsza staje się uległość Rzymu wobec „sugestyj“ Berlina. Arbitraż wiedeński wypadł tak jak wypadł, jedynie skutkiem całkowitego podporządkowania się hr. Ciano dyrektywom von Ribbentropa. Resztki marzeń węgierskich o wspólnej granicy z Polską rozwały się, wraz z dymem szrapneli, pekających nad Munkaczewem. Szrapnele były wprawdzie czeskie, ale sama ta metoda wybijania z upartych głów maddziarskich „niewczesnych zamiarów“ na sto mil pachniała zapaszkami berlińskiej kuchni politycznej. („Der Krieg ist Fortführung der Politik mit anderen Mitteln.“ „Wojna jest prowadzeniem polityki zapomocą innych środków“). Stosunek Włoch faszystowskich do Niemiec hitlerowskich coraz bardziej przypomina stosunek byłych c. k. Austro-Węgier do byłego Cesarstwa Niemieckiego. Wszakże to Berlin podktoł Wiedniowi decyzję z lipca 1914 r., wtrącające świat w odmęty Wielkiej Wojny. Wszakże to Berlin dyktuje dziś Rzymowi tymczasowe obniżenie tonu roszczeń antyfrancuskich. Wobec takich perspektyw — czyż nie najwinnie wyglądają wszelkie koncepcje, usiłujące na terenie polityki międzynarodowej przeciwstawić Rzym Berlinowi? I czy nie jest rzeczą dziwną conajmniej, że polityk tak bystry naogół, jak prof. Stroński, pisał z okazji wizyty min. Ciano w Warszawie:

„Bardzo się cieszymy, że mamy, jedni i drudzy, dobre stosunki z Niemcami. Ale zarazem i przedewszystkiem (podkreślenie moje, Z. J.) sobie wzajemnie dobrze życzymy... Wspólnie dbać o to musimy, by Niemcy wogóle zaniechały dalszego posuwania się na Wschód, co południowy czy północny, mając swobodę wyboru kierunku kolejności, a na to trzeba, by tu i tam nie czuły łupu za 24. II. 1939, wydanie wieczorne).

W ten sposób może przeciwstawiać Rzym Berlinowi tylko ktoś zamykający oczy na rzeczywisty bieg wypadków. Imperjum Mussoliniego będzie rozwijać się i rosnać jedynie przy poparciu Hitlera. Niekończące się podboje są warunkiem sine qua non istnienia ustroju faszystowskiego. Czyż nie jest rzeczą jasną, że za cenę zajęcia przez Włochy miejsca Francji w światowym systemie kolonialnym, dyktator włoski oddałby swemu niemieckiemu sprzymierzeńcowi cały wschód i całe południe Europy włącznie z Tyrolem? W tym kierunku przeciwbiegną wydarzenia. Cóż znaczą czyjeś pobożne życzenia, takie czy inne zachcianki, wobec faktu, że samo istnienie obu régimów, czarnego i brunatnego, zależy od ich najściślej współpracy? Gdy przed kilkunastu dniami Mussolini przyjął w Pałacu Weneckim nowy dyrektorjat partji faszystowskiej, oświadczył, że naczelnym hasłem narodu włoskiego powinno być nieustanne zwiększanie przygotowań wojskowych dla „obrony“ Włoch przed planami otoczenia państw autorytatywnych, wysuwaniem ze strony światowych prądów antyfaszystowskich. Była to niedwuznaczna od-

powieź na ostatnie wystąpienia Roosevelta, jednocześnie zaś niemniej jasna zapowiedź kontynuowania polityki zbrojnego szantażu.

Świat podzielił się, jeśli chodzi o poglądy z zakresu polityki międzynarodowej, na dwa wielkie obozy: „monachijczyków“ i „antymonachijczyków“, zwolenników kapitulacji i zwolenników oporu, przyjaciół i przeciwników „parasola“. Gdzie jest, i czy jest tam, gdzie być powinno, miejsce Polski w tych epokowych zmaganiach? „Dzięki atmosferze podobnych światopoglądów (podkreśl. moje, Z. J.) stosunki między obu narodami (polskim i niemieckim) powinny być coraz bliższe...“ zwierzał się niedawno wysłannikowi „Kurjera Czerwonego“ min. von Ribbentrop. „Do dawnych związków kulturalnych, łączących nasze dwa narody przybył w ostatnich latach węzeł tej wspólnoty ideowej (podkreślenie moje, Z. J.), która wraz z harmonją ich interesów politycznych zapewnia przyjaźni naszych dwóch krajów realną i trwałą podstawę“ — oświadczył Mussolini w specjalnej deklaracji, drukowanej na łamach „Gazety Polskiej“ z okazji wizyty min. Ciano. Jakże to „podobne światopoglądy“ i ta „wspólnota ideowa“ przejawiają się w dziedzinie polityki międzynarodowej? Nie brak nam pod tym względem autorytatywnych wypowiedzi. „W niespokojnych miesiącach ubiegłego roku przyjaźń polsko-niemiecka była jednym z uspokajających objawów europejskiego życia politycznego“ — mówił kanclerz Hitlera dnia 30 stycznia b. r. Jak dalece zaważyło stanowisko Polski na rozwoju sytuacji europejskiej przed półroczem? Znakomity publicysta, Henryk de Kérillis, uchodzący za tubę francuskiego sztabu generalnego, w wywiadzie udzielonym korespondentowi paryskiemu „Kurjera Polskiego“ oświadczył, że nie ulega najmniejszej wątpliwości, że pozycja Polski w konflikcie czechosłowacko-niemieckim zadecydowała o poniechaniu interwencji zbrojnej przez Francję. W zasadzie więc oświadczenia Hitlera i de Kérillisa pokrywają się; de Kérillis jednak przypisuje Polsce decydujący udział w „pokoju“ rozwiązaniu problemu sudeckiego. Historia wskaże, czy publicysta francuski nie przecenił roli polityki min. Becka w doprowadzeniu do monachijskich rozstrzygnięć. Jest jednak rzeczą jasną, że Polska, formalnie w stolicy Bawarii nieobecna, nie tylko w olbrzymim stopniu umożliwiła zjazd czterech, lecz także wcale przyczyniła się do jego „powodzenia“.

Jakiż zaś był najistotniejszy rezultat Monachjum? Wyjaśnił to już podczas listopadowej sesji parlamentu angielskiego sam mr. Chamberlain. W odpowiedzi na zarzut opozycji, że jednym ze skutków konferencji monachijskiej jest wzrost potęgi gospodarczej Niemiec w Europie środkowej, oświadczył on, że istotnie Rzesza zajęła dominującą stanowisko na tym obszarze. Dodał przytem skromnie, że leży w interesie Anglii, aby Niemcy były gospodarczo silne. „Jest to w ustach kierownika polityki angielskiej całkiem nowy język“ — pisał podówczas w „Robotniku“ Borski. „Od trzech bodaj stuleci za dogmat tej polityki uchodziła zasada „równowagi europejskiej“, do której naruszenia Anglia nie dopuszczała. Wszystkie posunięcia polityki angielskiej, czy to w stosunku do Niemiec, czy Francji, czy wreszcie Rosji — jeśli chodzi o wielkie mocarstwa sprzed wojny — dyktowane były przez tę zasadę, która też kierowała Anglią, gdy przystąpiła do wojny światowej“. Czemu Chamberlain zdecydował się oddać Europę środkową na łup hitlerowskich Niemiec i poświęcić tem samem zasadę równowagi kontynentalnej? Odpowiedział on i na to pytanie z bezceremonialną szczerością, wyjaśniając że rezygnuje z równowagi dla możliwości ciągnięcia zysków gospodarczych wspólnie z III Rzeszą. Istotnie, jak to już powyżej wiadomo, City pierwsza „uznała“ odstąpienie Sudetów Niemcom wzmacniając odpowiedni udział w ekonomicznej eksploatacji zdobywczy. A przecież mr. Chamberlain jest przedewszystkiem kupcem z Birmingham i jedną z czołowych osobistości w potężnej „Imperial Chemical Company“.

Konferencja monachijaska była największym w dziejach Niemiec krokiem ku urzeczywistnieniu wizji „Mitteleuropy“. Od tego czasu koło historii nie zatrzymało się w swym biegu. „Podobieństwo światopoglądów“ i „wspólnota ideowa“ zostały pogłębione. Właśnie znajdujemy się w przededniu wizyty min. Becka w Londynie, wizyty, która definitywnie związać może losy Polski z losami państw „osi“. Korespondent rzymski „Kurjera Warszawskiego“ telefonuje: „Sfery włoskie uważają za rzecz pewną, że min. Beck zgłosi kolonialne żądania terytorjalne. Ta odpowiedź, jaką uzyska w Londynie, rozstrzygnie nie tylko o stanowisku Polski wobec światowego problemu kolonialnego, lecz przesądzi jednocześnie o rozwiązaniu całego zagadnienia. Jeśli prem. Chamberlain uwzględni postulaty polskie — mówią w Rzymie — nie będzie mógł również odrzucić rewindykacji niemieckich, co zmusi też Francję do zmiany swego stanowiska wobec aspiracji włoskich. Jeśli natomiast Londyn nie okaże zrozumienia dla stanowiska Polski, musi liczyć się z konsekwencjami, jakie odmowa taka musiałaby spowodować.

Z tych właśnie względów sfery poli-

tyczne Włoch witają oficjalną zapowiedź podróży min. Becka do Londynu z wielkim zadowoleniem.“

A przecież przed niewiele tygodniami pułkownik January Grzędziński snuł w „Czarno na Białem“ marzenia o generalnym zwrocie naszej polityki zagranicznej. Pisał:

„Analogja naszego obecnego położenia z położeniem, w którym w roku 1917 Józef Piłsudski dał hasło: wtył zwrot! — jest uderzająca.

Polityka polska przeżyła już w tych ostatnich latach, — ba, miesiącach, — drogę z Kielc do Magdeburga. Wydaje się nam, że Józef Beck to doskonale zrozumiał (podkreślenie moje, Z. J.) — jest to w tym wypadku jasny punkt w sytuacji.

Przed nami trudna, najtrudniejsza operacja polityczna.

Ale żadne przeszkody psychiczne, jakże zrozumiałe, nie mogą jej powstrzymać — nic nie powinno jej odwiekać.

Wszystko na szale!“

Okazuje się, że min. Beck nie myśli wcale o zalecaniej przez towarzysza walk legionowych ciężkiej operacji dyplomatycznej. Najprawdopodobniej też myli się red. Mitzner, twierdząc w „Dzienniku Ludowym“ z 7 b. m., że polityka Polski znajduje się „w poszukiwaniu utraconego czasu“, t. zn., że min. Beck pragnie teraz wespół ze swym rumuńskim kolegą położyć tamę „mittel-europeizacji“. Kanał bałtycko-czarnomorski i droga żelazna z Warszawy do Salonik mają przeciąć gościniec ekspansji niemieckiej na Wschód i na Południe. Niestety. Żadne skrzyżowania szlaków gospodarczych czy arterij komunikacyjnych nie stanowi samo przez się politycznego skrzyżowania szpad. Polska i Rumunja mogą znaleźć się definitywnie w orbicie wpływów niemieckich wraz z całym swym, choćby najpiękniej rozbudowanym, systemem dróg wodnych i lądowych. Co więcej: niezależnie od politycznych losów takiego systemu komunikacyjnego powinien i musi zainteresować się nim kapitał międzynarodowy, „francuski“, „angielski“ czy „holenderski“. Rentowność przedstawionych przez min. Gafencu zamierzeń polsko-rumuńskich jest wszak oczywista. A dla kupców z Birmingham, bankierów z Amsterdamu albo fabrykantów z Lyonu istnieje tylko geografia gospodarcza. Polityczna — to tylko dziecinna zabawa różnokolorowemu chorągiewkami. Cóż znaczą losy jakiegoś „bliżej nieznanego“ 30-miljonowego narodu wobec sześcioprocentowej renty rocznej?

„Po czynach poznacie je“. Ale w poszukiwaniu prawdy o naszej polityce zagranicznej musimy się oprzeć w bardzo poważnej mierze na przemówieniach, deklaracjach i wywiadach min. Becka. Słyną one ze swej ogólnikowości, ale dają jednak pewien obraz zasad, jakimi się minister kieruje. Właśnie przed niespełna dwoma miesiącami stwierdził on w rozmowie z amerykańską dziennikarką — nie po raz pierwszy zresztą — że naczelną zasadą polskiej polityki zagranicznej powinno być ustrzymanie równowagi między Niemcami i Z. S. R. R. Chciałoby się to twierdzenie rozpatrzyć i omówić. Ciężkim kamieniem leży ono na sercu tym wszystkim, którzy nie mogą oderwać myśli od sprawy losów Polski w nadciągającym krytycznym momencie światowych zmagają. Jednakże respekt dla trudnej pracy p. cenzora powstrzymuje nas od przemawiania „nazbyt śmiało“. Z niewdzięcznego terenu praktyki politycznej przenieśmy się lepiej na chwilę w dziedzinę semantyki i etymologii. Otwieramy podręczną encyklopedję. Czytamy o „państwach buforowych“, że jest to „w polityce termin używany na określenie mniejszych państw, położonych między dwoma większemi, spełniających rolę „buforu“ t. j. zapobiegających ewentualnemu starciu“. Można powiedzieć więcej, niż mówi encyklopedja. Termin „państwo buforowe“ jest dosłownym tłumaczeniem niemieckiego „Pufferstaat“. Niesposób mu odmówić dużej plastyczności. Jak zderzak wagonu chroni od starcia z innym wagonem, tak „państwo zderzakowe“ utrzymuje równowagę między swymi potężnymi sąsiadami. Inna rzecz, że jeśli ogranicza się ono wyłącznie do tej roli, to w końcu staje się łupem któregoś z dwu mocarstw. Wszak jest ostatecznie także tylko częścią składową jakiegoś wagonu. „Idealnych“ „państw buforowych“ niema. Zawsze znajdują się one w czyjejs orbicie. I zawsze w końcu chronią kogoś przed kimś.

Oczywiście, nie można pogodzić „buforowej“ linii polityki z linią „mocarstwową“. „Państwo zderzakowe“ odbiega też tem dalej od swych idealnych założeń, im częściej jeden z jego sąsiadów zapewnia nas o istniejącej między nim a niem „wspólnocie ideowej“ czy „podobieństwie światopoglądu“, podczas gdy drugi sąsiad milczy wymownie (lub przemawia jeszcze wymownie, ale w odwrotnym sensie). Ale powróćmy znów na grunt praktyki politycznej. Czy Polsce nie grozi zepchnięcie do roli czyjś „buforu“? Zajrzyjmy do ostatnich, niezwykle znamienitych rezolucyj Stronnictwa Narodowego. Czytamy:

„...Wzrost potęgi niemieckiej, przewaga Rzeszy w Europie środkowej i plany niemieckie na wschodzie utrudniają położenie Polski. Położenie to staje się tem bardziej skomplikowane, że z chwilą rozbiór Czechosłowacji i prób zaprowadzenia tam faktycznego protektoratu Niemiec, Polska



została od Niemna po Prut otoczona wałem niemieckim... W tym stanie rzeczy naród polski musi zdobyć się na wielki wysiłek, by zachować swą niezależną pozycję wobec dążeń ze strony Niemiec poddania naszego kraju ich wpływom gospodarczym i politycznym. ...Podobnie jak w innych krajach Europy środkowej i wschodniej, Niemcy usiłować będą pozyskiwać od wewnątrz wpływy na nasze życie gospodarcze i polityczne, popierając w szczególności dążenia do takich form ustrojowych, które przez sparaliżowanie twórczej energii narodu polskiego ułatwiałyby im urzeczywistnienie ich planów“.

Caveant consules! Czas najwyższy wykażać czynami, że Polska nie będzie „Hinterlandem Hitlerlandu“. Czas najwyższy pokazać światu właściwą rolę Rzeczypospolitej w dzisiejszym układzie sił międzynarodowych. Rolę, nie mającą nic wspólnego ze zmorą „buforowości“. Rolę prawdziwie samodzielną — i dzielną. Jest szczególnie w nieszczęściu t. j. w położeniu geopolitycznym Polski. I jeśli nie miała ona nawet w konflikcie czechosłowacko-niemieckim tego decydującego udziału, jaki przypisuje jej de Kérillis, to może go mieć w nadciągającej rozgrywce. Rozgrywe o największej w historii globu doniosłości, rozgrywe, w której zetną się niewidziane dotychczas siły. Twardo opowiedzenie się Rzeczypospolitej przeciw polityce, zmierzającej do „nowego Monachjum“, może stanowić zwrotny moment w rozwoju sytuacji światowej. Może ono zadecydować o ostatecznej klęsce i odejściu najzarliwszego (poza dyktatorami faszystowskimi) „monachijczyka“: min. Bonnet. Tego ministra sprzymierzonej Francji, który najlżej z dotychczasowych ministrów Republiki, ważył sobie sojusz polski, i na którego niefortunny nos kłębiła nosem czas jakiś nawet nasza „prasa czerwona“. Nie jest bowiem przypadkiem, że właśnie antymonachijski obóz francuski najsiłniej podkreśla znaczenie aljansu z Polską. Dlatego hasłem naszej polityki zagranicznej powinno być dzisiaj: ani kroku razem z „osią“, ani kroku razem z „monachijczykami“. Zadecydować o definitywnym zmontowaniu bloku państw szczerze broniących pokoju, wzmocnić rozstrzygającą linię oporu przeciw szantażystom wojennym. Nie oddawać się złudzeniom „buforowości“ czy „neutralności“ teraz, gdy daleki Roosevelt uznał dotychczasową zasadę neutralności Stanów Zjednoczonych za służącą raczej wojnie, niż pokojowi. „Wszystko na szale!“ — mówimy razem z pułkownikiem Grzędzińskim, nie oddając się zresztą jego marzeniom, jeśli chodzi o osobę min. Becka. „Wszystko na szale!“ Czas jeszcze uchronić świat od krwawego potopu. Totalizm wygrywał dotychczas wszystkie bitwy. Ale nie może wygrać wojny z frontem wszystkich państw demokratycznych. Dlatego tylko pod znakiem demokracji zdola Polska urzeczywistnić swe wielkie szanse historyczne.

E. SZEMPLIŃSKA-SOBOLEWSKA

PEJZAŻ ZIMOWY

Cały świat w blasku śnieżnym płonie,
i wszędzie puch i lep i cukier,
drzewa ku nieba wznoszą toni
diamentowych gałęzi buket...

I nawet chłop, co za podatki
jedyną wzięł mu jałówkę,
ma dziś ze srebra dach u czapki,
srebrną u butów ma lamówkę,
kiedy tak idzie za ogonem,
za czterech łapsk śladem koszlawym —
i żegna wzrokiem wysiłonym
symbol nadziei swych i planów.

A dzieci wrzeszczą — nie daj, tato! —
nosy wytknąwszy poza próg.
— Ona jest nasza! —

lodowaty
wicher te słowa rwał i miotł...
I tłuł o ziemię dymu łachem,
i bódł, i szarpał, i gryził drzwi —

Dzieciom szochrał włosów papachy
strojne w żywe perelki wszy.

JULES ROMAINS

przełożył WACŁAW ROGOWICZ

NIEMIECKI REWOLUCJONISTA*)

Sampeyre rozesłał stałym bywalcom swych zebrań środowych listy takiej, z pełnemi warzantami treści:

„Postarajcie się przyjść jutro wieczorem. Będzie u mnie Robert Michels, socjalista niemiecki, znany Wam może z nazwiska. Zresztą obznajomiony blisko ze sprawami Francji i mówiący bardzo dobrze po francusku. Sądzę, że Was zainteresuje. A przytem nie chciałbym aby przypadkowo znalazł się w zbyt szczupłym gronie. Dlatego pozwoliłem sobie zwrócić się do Was z tem przyjacielskiem wezwaniem“.

Nikt nie sprawił zawodu, prócz pani Legraverend, niezdrowej. Przyszło nawet dwóch przyjaciół mniej gorliwych: Liguevin i Rothweil. W przeciwieństwie do innych, nie byli oni dawnymi uczniami Sampeyre'a. Liguevin, o kilka lat młodszy, był jego kolegą w Szkole Normalnej w Auteuil. Co do Rothweila, mężczyzny pod pięćdziesiątkę, właściciela sklepu z obuwiem na rue de Dunkerque, poznał się on z Sampeyrem w Lidze Oświatowej.

Każdy postarał się przyjść wcześniej, żeby cudzoziemiec miał przyjemność powitania go przez liczniejsze zebranie. Ale ku ich wielkiemu zdumieniu, ci co przyszli pierwsi, zastali siedzącego w środku pokoju, rozprawiającego z Sampeyrem dzwiecznym głosem, z żywą gestykulacją, wysokiego chłopca, o budowie i wyglądzie tak germańskim, że nawet ci, co mieli o Niemcach najbardziej niejasne pojęcie, bez wahania go poznali.

Za każdym razem, gdy go przedstawiano, zrywał się z miejsca; i był tak wysoki, że ludzie mimowoli zerkali w stronę skromnego sufitu Sampeyre'a w obawie, że nie był obliczony na mężczyzn takiego wzrostu.

Robert Michels stukał obcasami, pochylał się dość nisko przed mężczyznami, bardzo nisko przed kobietami, nie przestając się uśmiechać i przerywając nieraz w miły sposób to co mówił doń Sampeyre.

Pewna sztywność protokółarna łączyła się u niego z różnemi przejawami żywości temperamentu; i ani jego głos, ani spojrzenie nie odpowiadało pojęciu, jakie Matylda Cazalis wytworzyła sobie o surowym teoretyku socjalizmu z krółów Północy.

Z bardzo jasnemi, krótko obciętemi włosami, z niebieskimi oczami, wydawał się jeszcze zupełnie młody — znacznie bliższy trzydziestki niż czterdziestki — i był ubrany ze starannością, która w tem środowisku wyglądała na wyszukaną. Stałby się może przez to podejrzanym, gdyby był Francuzem. W każdym razie obecni byłiby tem skrepowani. Ale przybywał zdaleka. Zjawiał się poniekąd jako poseł tych, co tam pracowali dla sprawy ludzkości. Jest rzeczą naturalną, że poseł robi pewne ceremonje.

Zresztą werwa Roberta Michelsa, szybkość jego odpowiedzi, towarzyszące im gesty zgola południowe, wystarczyłyby do rozpoznanja przymusu.

— Pan Michels, — rzekł Sampeyre, — mówił mi o sprawach niemieckich. To co mi wyłożył, jest bardzo interesujące.

Michels oświadczył, że co do obecnej sytuacji w Niemczech są ludzie, jeśli nie lepiej od niego poinformowani, to conajmniej bardziej powołani do mówienia o niej; że istotnie przebywał tam jakiś czas, ale że od kilku lat długo mieszkał we Francji, w Szwajcarii, we Włoszech; że, nie przestając zaznajamiać się bliżej z wszelkiemi wydarzeniami w swej ojczyźnie i nie tracąc kontaktu z rodakami, zastanawiał się czasem, czy nadal widzi rzeczy tak jak oni, czuje je tak jak oni.

Legraverend zauważył, iż tylko długie pobyty we Francji mogły istotnie wytłumaczyć fakt, że pan Robert Michels włada francuskim z taką swobodą, z tak nieznacznym akcentem, słowem, tak doskonale. Luiza Argellati wymieniła nazwiska dwóch swych włoskich przyjaciół, którzy mówili jej o Michelsie, z powodu, zdaje się, spotkania się z nim w Rzymie czy w Medjolanie. Potwierdził, że ich zna, że to były głowy bardzo otwarte, umysły bardzo żywe, z którymi łączyła go szczerza sympatja.

— Pan Michels, — podjął Sampeyre, — bardzo zabawnie mówi o Wilhelmie II. A propos, jak należy wymawiać pańskie nazwisko?

— O, jak pan chce. Również w Niemczech różnie je wymawiają, zależnie od okolicy. Jedni „Miquels“, prawie jakgdyby pisało się przez k. Inni zmiekkają trochę... che... chels... ale z całego naszego języka to jest najtrudniejszy dla was dźwięk. O, chciałbym żebyście państwo wymawiali Michels po francusku. Wyglądałbym na członka rodu Luizy Michel, co jest nader zaszczytne...

Śmiał się, razem z Sampeyrem. Ich śmiech był zupełnie różny.

— Co się tyczy kajzera, moje zdanie o nim nie ma w sobie nic oryginalnego. Krąży o nim dużo żartów i poza kołami socjalistycznymi.

— Mam wrazenie, — rzekł Liguevin, — że po ostatnim wybryku jego prestige jeszcze się zmniejszył.

— Tak... och!...

— Nasłuchał się różnych ocen. Przypominam sobie wyciągi z waszych wielkich

dzienników w początkach listopada. Jakież to były twarde słowa! A ten wiec w Berlinie, gdzie nie pamiętam już jaki mówca, bardzo znany, mówił o cesarzu ze swobodą niesłychaną, której tutaj wahanoby się użyć wobec prezydenta Republiki; gdy powiedział, że naród niemiecki chce prawdziwego ustroju konstytucyjnego i pokoju z sąsiadami.

— To musiał być doktor Quidde. Nie pamięta pan nazwiska?

— Może być... Nie mówiąc już o mowie waszego Bülowa, na plenum Reichstagu, kiedy powiedział: „Jego Cesarska Mość niezawodnie zda sobie sprawę z konieczności powstrzymania się na przyszłość od manifestacji szkodzących polityce Niemiec i narażających autorytet korony“. Cytuję prawie dosłownie. Zgodzi się pan, że u nas, po takim wystąpieniu, sytuacja panującego stałaby się niemożliwa. Nie pozostałoby mu nic innego, jak dokonać zamachu stanu albo spakować manatki.

— Widzi pan. Kajzer nie zrobił ani jednego ani drugiego. Niebezpieczeństwo dla was tkwi w przecenianiu znaczenia tych rzeczy. Zajewniam pana. Monarchja niemiecka jest jeszcze bardzo mocna; daleko mocniejsza od monarchji włoskiej, hiszpańskiej lub rosyjskiej. Osoba Wilhelma jest mało szanowana. Instytucja jest szanowana. Całe Niemcy są zbudowane na tronie monarchji.

— Nasz ancien régime był również tak zbudowany. Co mu nie przeszkodziło runąć.

— Chociaż długo czasu na to potrzebował.

— Pan tak uważa?

— Oczywiście. Czy pan nie bierze pod uwagę Napoleona, Restauracji, wszystkich naszych monarchij ubiegłego wieku? Czyż to nie było dla naszej dawnej monarchji pewnego rodzaju oznaka, że jeszcze się nie zawałiła? Zresztą, nie da się tu robić porównania. Wasza dawna monarchja była o wiele bardziej nowoczesna niż obecna monarchja niemiecka.

Sampeyre roześmiał się hucznie. Sam niezbyt skłonny do głoszenia paradoksów — przez pewnego rodzaju synowski szacunek dla prawdy, a również przez nałóg zawodowy myślenia rzetelnie — lubił je u drugich. Lekkie zgorzsenie, które odczuwał, objawiało się śmiechem u tej dobrodusznej natury.

— Wcale nie żartuję — podjął Michels, który też się śmiał. — Wasza stara monarchja oddawna zlikwidowała feudalizm. Opierała się na burżuazji, nazywanej przez was Stanem Trzecim; również, trochę na ludzie. Nasza monarchja opiera się na feudalizmie, jeszcze bardzo żywotnym, bardzo silnym. Panuje nad nami zgraja obszarników, nawpół barbarzyńskich, nieco bardziej cywilizowanych niż za czasów Germanii Tacyta, ale nie wiele więcej niż Krzyżacy. Gdyby, nadzwyczajnym trafem, monarchja zniknęła feudalizmby pozostał, systemby pozostał. Są republikanie wszędzie na świecie: we Włoszech, w Hiszpanji — nawet król tam mówi, że jest republikaninem — w Turcji, w Chinach. Nie ma ani jednego republikanina w Niemczech.

— Z wyjątkiem wszelako kół socjalistycznych?

— Niech pan mnie posłucha. Znam dobrze waszego Wiktora Griffuelhes, przywódcę syndykalistów. Obaj jesteśmy wielbicielami, uczniami waszego Jerzego Sorela. W zeszłym roku spotkałem się z Griffuelhes na międzynarodowej konferencji syndykalistycznej. Opowiadał, jak pojechał przed rokiem do Berlina, dla zaproponowania syndykatom niemieckim akcji uzgodnionej z syndykatami francuskimi. Myślał, że znajdzie tam wielkich rewolucjonistów, jak Pouget, Broutchoux, towarzysze z C. G. T. Idzie na wystawę pracy. Pierwsza rzecz, jaką widzi, to wspaniały wieniec, ze złotym napisem: „Es lebe der Kaiser“. Pyta się przywódców syndykatów niemieckich: „Co znaczy ten napis?“ — Niech żyje Cesarz. Prawda, że to zabawne? Dałbym wiele za to, żeby zobaczyć minę Wiktora Griffuelhes. Pod koniec pobytu, żeby go zobaczyć, prowadzą go na wielki bankiet, równie całkiem syndykalistyczny i rewolucyjny. Pyta, na jaką część odbywa się ten bankiet. „Żeby święcić ukończenie budowy kościoła“. Ale to jeszcze nie. Gdy bankiet się skończył, wszyscy ci robotnicy, w najwyższym stopniu rewolucyjni, powstają i krzyczą: „Hoch für den Kaiser!“ Tym razem, biedny Griffuelhes nie prosił już o tłumaczenie.

Sampeyre już się nie śmiał. Targał brodę. Wszystkie twarze były poważne z odcieniami, tu porażki, ówdzie powątpiewania. Tylko Laulerque'owi, to co słyszał, jakgdyby sprawiało pewne gorzkie zadowolenie.

— Czy nie sądzi pan, — rzekł powoli Darnould — że tu mogły być poprostu środki ostrożności przed policją? U nas się też zdarzało, za rządów autorytatywnych, że elementy podejrzane próbowały wprowadzać w błąd.

— Nie. Nie sądzę... Powiedzmy, żeby nie przesadzać, iż jest może w całych Niemczech piętnaście czy dwadzieścia tysięcy prawdziwych syndykalistów rewolucjonistów.

— Syndykalistów, może. Gdyż syndykalizm jest doktryną nową, nawet u nas;

i jest możliwe, z powodów mi niewiadomych, z racji temperamentu narodowego, bo ja wiem? lub przez sam fakt rozwoju socjalizmu, że pruscy rodacy mało interesują się czystym syndykalizmem. Ale wasza partja socjalistyczna, właśnie, jest bardzo liczna, bardzo potężna.

— Trzy i pół miliona wyborców.

— Nie uważa pan, że to jest olbrzymie?

— Jako cyfra, tak. Najwyższa w Europie.

— A jako organizacja?

— Najdoskonalsza jaka istnieje. Wzór dla całego świata.

— A więc?

Clanricard wtrącił się, bardziej jeszcze zaniepokojony niż nieśmiały:

— Panie Michels, jest jedna rzecz, która nas tu wszystkich bardzo absorbuje: wojna. Zwłaszcza po wydarzeniach w ostatnich czasach. Nie będzie przecież nam pan mówić, że te półczwarta miliona zorganizowanych socjalistów nie zrobiłyby nic lub nie mogłyby nic zrobić, aby zapobiec wojnie?

Michels skupił się na chwilę. Potem powstał, rozłożył ręce. Ten olbrzym, którego jasnowłosa czaszka sąsiadowała z sufitem, wyrzucił z siebie:

— Muszę jednak zdobyć się na odwagę i powiedzieć wam: nie.

Otoczyło go milczenie konsternacji. Krąg smutnych żrenic, które podniosły się ku niemu, a potem patrzyły błędnie przed siebie. Cofnął się ku ścianie, oparł się o niską szafkę, prawie na niej siadł, i zaczął znowu mówić:

— Naogół, nie mam wielkiego zaufania do partji socjalistycznych, we wszystkich krajach, nie wierzę, aby mogły cokolwiek zrobić lub czemukolwiek przeszkodzić...

— No, no, — zauważył półgłosem Laulerque, spoglądając kolejno na Legraverenda i Matyldę Cazalis. — No, no!

— ...Ale nie rozważam teraz tego zagadnienia. Mówimy tylko o niemieckiej partji socjalistycznej. Powtarzam, jej organizacja jest najsilniejsza w świecie. To jest punkt bardzo trudny do zrozumienia dla cudzoziemców. Jedynym celem partji socjal-demokratycznej jest organizacja. Gdyby przywódcy socjal-demokracji zbadałi statystykę partji, stan liczebny, składki, stwierdzili, że federacje dobrze działają, że raporty są prawidłowo przekazywane, prasa partyjna dobrze drukowana, korespondencja z innemi sekcjami Międzynarodówki dobrze prowadzona, że hierarchja wszystkiego jest regularnie przestrzegana, myślą sobie: „Wszystko jest w porządku“. I jeśli organicz jeszcze czegoś, to większej regularności, lepszej hierarchji. Rzecz specyficznie niemiecka. Niemcy są schematem organicznym. (Wymawiał: skematem). Są aparatem generalnym, mogącym wytwarzać wszelkiego rodzaju organizacje, które będą wzorowe: organizacje konsumentów piwa, organizacje zwolenników parasoli. Wszędzie ta sama rzetelność w pracy, ta sama wierność, ta sama dyscyplina.

— Ale w dniu, kiedy ta organizacja socjalistyczna, robotnicza, powstanie przeciw wojnie, będzie właśnie niezwalczona?

— Ten dzień przyjść nie może.

— Dlaczego?

— Bo przywódcy socjal-demokratyczni zanedo lubią swą machinę, by ryzykować zbyt silny dla niej wstrząs. Jak grzeczne dzieci, co zbytnio lubią swą zabawkę i wolą nie używać jej. Proszę się zastanowić. W jaki sposób mogliby oni zapobiec wojnie?

— Rzucając na początek półczwarta miliona wyborców do strajku powszechnego.

— Sabotując mobilizację — dorzuca łagodnie Darnould.

— Sabotować! Idea najmnij niemiecka. Moi rodacy zbyt uwielbiają pracę, aby sabotować cokolwiekbądź. Co do strajku powszechnego, baliby się złamania swej pięknej organizacji.

— Ale w takim razie, do czego ona służy?

— Powiedziałem już panu: do istnienia. Do czego służy wszędzie większość rad nadzorczych? do istnienia; do korzystania ze swego istnienia. Organizacja socjalistyczna, u nas, nie jest środkiem, lecz, jak mówią filozofowie: celem samym w sobie. Socjal-demokracja ma niewłaściwą nazwę. Należy mówić: socjal-biurokracja.

— W takim razie przywódcy są idjoci! — oświadczył Legraverend.

— Nie. Bebel naprzykład, to bardzo dzielny człowiek.

Michels dodał złośliwie:

— Szanuję go. Był moim mistrzem.

Sampeyre, który też powstał, odzyskał ochotę do śmiechu.

— Nie robi panu nikt zarzutu, że jest pan uczniem, którego szacunek zasłępia.

Legraverend nalegał:

— Ale, koniec końców, na co oni czekają? czego się spodziewają?

— Że całe Niemcy zapiszą się regularnie do partji socjal-demokratycznej.

Wybuchnął śmiechem. Zebrani śmiali się przez chwilę. Michels stał się znów nawpół poważny:

— Jeżeli ich zapytacie, ponieważ są uczciwymi marxistami — naprawdę to bardzo uczciwi ludzie, zapewniam was, — powiedzą wam, że oczekują również, iż, wedle przeobrażenia zapowiedzianego przez

Marxa, społeczeństwo kapitalistyczne, doszedłszy do kresu rozwoju, zachwieje się, tak, zamieni na społeczeństwo kolektywistyczne... Ale...

— Do tej pory — przerwał Clanricard, — wojna europejska będzie miała czas wybuchnąć dziesięć razy.

— Oczywiście. ...Ale pomijając nawet to, myślą się. Gdyż Niemcy nie są w stadjum kapitalistycznym.

— Wie pan, to mnie zdumiewa! — rzucił Sampeyre.

— Niesłusznie. W tym sensie, że typowa klasa systemu kapitalistycznego, którą jest burżuazja przemysłowa i handlowa, nie doszła do władzy. Powiedziałem wam: Niemcy są jeszcze ciemnione przez system przedkapitalistyczny i feudalny. Znam dobrze sytuację. Sam pochodzę z wielkiej burżuazji kolońskiej. Byłem oficerem rezerwy w armji kajzera...

Dodał, z donośnym śmiechem: — Zresztą, haniebnie wypędzonym z armji kajzera...

— Spowodu pańskich przekonań?

— Naturalnie. Ale przedewszystkiem dlatego, że syn wielkomieszczańskiej rodziny kolońskiej, porucznik rezerwy i socjalista, niby jakiś tkacz czy szewc, stanowił największą hańbę ludzkości. To był taki upadek, o jakich czytamy w powieściach Dostojewskiego... Otóż, jestem uprawniony do powiedzenia wam, że przedstawiciel najwyższej burżuazji Kolonji lub najbogatszy przemysłowiec Ruhry, czuje się w sercu swoim kruszyną wobec mizernego hreczkosieja z Pomorza.

Zrobił pauzę, popatrzał na zebranych; zdawał się patrzeć w samego siebie; poczem rzekł:

— Oto dlaczego powtarzam, co powiedziałem w zeszłym roku na konferencji, że pomimo swych milionów socjalistów Niemcy ciągną nad Europą, jako stała groźba wojny lub reakcji.

Nikt się nie poruszył. Nawet ci, których ta sentencja nie przekonała, przyjmowali ją w skupieniu, zachowując sobie na wolne chwile rozmyślanie nad nią, lub dyskutowanie o niej w poufnym gronie.

Sampeyre, którego wiek, znajomość opinij ludzkich, z ich krańcowością i niestałością, czyniły może mniej wrażliwym, pociął po swych młodych przyjaciółach wzrokiem, zaprawionym pewną dozą ironji francuskiej, który mówił: „Tak, tak. To bardzo ciekawe. Trzeba będzie przyjrzeć się jeszcze temu bliżej. Przedewszystkiem, nie wpadajmy w przynębenie“.

Zwrócił się do swego gościa:

— W rezultacie, jeżeli pana dobrze zrozumiałem, nie jest pan daleki od wyparcia się socjalizmu?

— Socjal-demokracji, tak. I bardziej ogólnie, tego wszystkiego co pachnie demokracją w socjalizmie. Ale toby nas zaprowadziło zbyt daleko.

— Zasmuca pan we mnie starego demokratę, — zakonkludował Sampeyre dobrodusznym tonem.

Matylda Cazalis, z dąsem rozczarowania na swej ładnej buzi, podawała teraz dokoła filiżanki kawy.

Robert Michels, z filiżanką w ręku, podszedł do Luizy Argellati:

— Czy pani знаła tam Ugo Tognettiego?

— Trochę. Ale znam przedewszystkiem jego poglądy, jego publikacje.

— Czy niema go w tej chwili w Paryżu?

— Nie wiem. Nie sądzę. Czy raczej nie jest w więzieniu?

I Luiza Argelloti zaczęła się śmiać bardzo wesoło.

— Nie. Jestem pewny, że był w Paryżu jeszcze niedawno. Tak... w jednym klubie, gdzie sam muszę być.

Potem Michels mówił o czem innym.

E P O K A

NIEZALEŻNE CZASOPISMO SPOŁECZNE
POLITYCZNE I LITERACKIE

EPOKA broni zasad wolności i sprawiedliwości społecznej

EPOKA zawiera w każdym zeszytacie obfity przegląd najważniejszych spraw naszych czasów

EPOKA zamieszcza artykuły wybitnych piór publicystycznych i literackich

EPOKA jest wszędzie do nabycia

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:
WARSZAWA, UL. ORDYNACKA 5
TEL. 2.13-90

JAN ŚPIEWAK

Rozmowa z Adamem Ważykiem

Tak się jakoś złożyło, że ruchy nowatorskie w poezji polskiej nie znalazły swego bezstronnego krytyka. Artykuły powstałe dotychczas są przeważnie wyrazem koterji, a więc hymny pochwalne albo w większym lub mniejszym stopniu złośliwe paszkwile. „Objeżdżanie dla reklamy“, jak to świetnie nazwał Wojciech Natanson, stało się nieomal metodą. Nie dziw więc, że liczni niezwykle utalentowani poeci, którzy schronili się w zacisze domowe przed swarami i chwilowymi kalkulacjami grup i gruppek literackich, są przemilczani. Badacz, chcący ustalić właściwe proporcje, stoi bezradnie. Oprócz tekstów i paru zaledwie ważniejszych dzieł teoretycznych nie niema. Może więc rozmowy bezpośrednie z pisarzami chociaż trochę zapobiegają temu brakowi. Oto twórczość Adama Ważyka, najwybitniejszego przedstawiciela okresu „Nowej Sztuki“ nie jest dotychczas opracowana, omówiona. A przecież to nie jest tylko poszukiwacz nowych dróg, ale poeta we-wszecchmiar interesujący i odkrywcy, reprezentujący wartości, do których zapewne nawiąże młode, myślące pokolenie poetów. Jego właśnie proszę o poinformowanie, jakie były główne tendencje w awangardzie, jej źródła istotne i stosunek jej do „Nowej Sztuki“?

— Za kolebkę „awangardy“ — mówi Ważyk — uchodzi Kraków. Nazwę tę przyjął prąd literacki, reprezentowany przez grupę poetów, którzy początkowo skupiali się przy osobie Tadeusza Peipera, zanim każdy z nich zdobył własne, odrębne oblicze. Ten prąd krakowski był tylko wąską i bardzo stateczną odnogą szerokiego, burzliwego potoku „Nowej Sztuki“, który niestety rozprószył się, zamarił, wsiąkł w piasek milczenia. Ferment poetycki pierwszych lat niepodległości wydał rozproszony, źle zorganizowany ruch, który nie doszedł do głosu, nie wypowiedział tego, co miał wypowiedzieć. Ten ruch poetycki został zdławiony nieomal w zarodku, zanim zdążył się wyklarować. Prehistorja „awangardy“ pozostała więc czemś fragmentarycznem, niepełnem. Dorobek poetycki okazał się nieproporcjonalnie szczupły w stosunku do możliwości i perspektyw wewnętrznych. Jako silną pozycję mógłbym wskazać „Anielskiego chama“ Sterna, „A“ i „Żywe linje“ Peipera, „Słowo o Jakóbie Szeli“ Jasińskiego. W tym czasie powstały również moje wiersze, w latach 1922—25. Fatalne warunki życiowe, brak stałej trybuny, zresztą brak woli i elementarnego poczucia solidarności walnie przyczyniły się do rozbięcia ruchu i taktycznie silna grupa Skamandra zdobyła sobie wówczas monopol na „dobrą poezję“.

W łonie „Nowej Sztuki“ występowały równocześnie tendencje, które można uważać za sprzeczne ze sobą i skłócone. Irracjonalizm i tęsknota do jakiegoś nowego klasycyzmu, kult niespodzianki i dążność do surowego rygoru, odwoływanie się do podświadomości i porównywanie poezji z rzeźmiostłem, skłonność do mistyfikacji, do żartu, do bufonady i kult dla zdobyczy naukowych, uwielbianie techniki czy maszynizmu i żądza anarchistycznej swobody, poszukiwanie treści społecznej i abstrakcyjny formalizm. Jeśli nie było zgody w dążeniach, to była zgoda w negacji, w zwalczaniu kultury poetyckiej przedwojennego modernizmu, secesyjnej ludowości, maniery pesymistycznej, niechęci do cywilizacji miejskiej, oraz wszelkich dualizmów ducha i materji: ciała i duszy, treści i formy, i wszelkich „głębi metafizycznych“. Ta negacja była dobitniejsza, niż u Skamandrytów. Szło o przywrócenie szacunku dla intelektu. Nowatorzy byli przeciwni prostocie, ale tylko w tym sensie, że nie chcieli udawać sentymentalnych prostaczków, sprzeciwiali się romantycznej demagogji natchnienia, chociaż niektórzy z nich pisali wiersze w temperaturze 39 stopni.

— „Nowa Sztuka“ była więc ogólniejszym, szerszym prądem, z którego dopiero wynikł „peiperyzm“. Czemże zatem różniła się od Skamandrytów?

— Skamandryci układali aforyzmy na temat uczuć, opisywali swój stan uczuciowy w obrazach poetyckich, mających sens i kształt symboliczny. „Nowa Sztuka“ była wroga symbolizmowi, przywracała wzięci sens bezpośredni. Każde zdanie i każde wyobrażenie należało traktować dosłownie, jako składnik siłata poetyckiego, równie konkretnie, jak w świecie materialnym — to biurko, przy którym siedzimy.

— Powiedział pan przed chwilą, że „Nowa Sztuka“ była wroga symbolizmowi. To ciekawe, obecnie cały szereg awangardzystów powraca do symbolu. Marzy o nim. A więc był to ruch antysymbolistyczny?

— Nie, był przedłużeniem symbolu. Wyrósł z symbolizmu i sprzeciwiał mu się i to jest właśnie w porządku. Rimbaud i Mallarmée byli symbolistami — dzięki temu, w poezji swojej oddalając się od potocznego znaczenia słów, unaoznili ich ciężar emocjonalny, ich zmienną urodę, zależną od kontekstu, jak kolor położony przez malarza na płótnie zmienia się zależnie od sąsiednich kolorów. Po doświadczeniach poetyckich symbolizmu francuskiego nie można już inaczej traktować znaczenia słów w li-ryce, ale z tego nie wynika, że trzeba być symbolistą. Należy też zapobiec pewnemu nieporozumieniu, mianowicie kiedy się mó-

wi o emocjonalności słów w poezji, rozmaici panowie przytakują, oświadczając, że fraza poetycka ma „wartość muzyczną“. Coprawda, dźwięk odgrywa pewną rolę, ale wcale niedużą, chodzi przede wszystkim o wartość wizyjną. Ta wartość właśnie zatracą się w poezji, aspirującej do pobratymstwa z muzyką. Ruch awangardowy gardził „muzycznością“, kładąc nacisk na elementy obrazowe i plastyczne.

— A jak pan wytłumaczy zarzuty niezrozumiałości, z którym spotykał się ten prąd. Przecież niektórzy awangardziści dawali całe komentarze do swoich utworów?

— Rozumiem i doceniam pożyteczność tych komentarzy, kiedy celem ich jest — ułatwienie czytelnikowi ujęcie współczesnej poezji. Ale nie — wystawianie paszportu dla utworu poetyckiego, nie — uzupełnianie czy objaśnianie. Poezja, do której trzeba klucza, jest zła. Jeśli komuś nasza sztuka wydawała się niezrozumiałą, ciemną, to dlatego, że była bardziej autonomicznym tworem wyobraźni, niż poezja dawniejsza. Nowy materiał przeżył włączony do poezji, nowe uszeregowania wyobraźni, przełamywanie mechanizmu skojarzeń, zbanalizowanych, łatwych, popularnych, zadomowionych

P I S A R Z E N A Z A O L Z I U

Olza. W patryjotycznych wierszach i reportażach czytaliśmy przed październikiem, że „Olzą płynęły trupy“. Jest to o tyle nieprawda, że w stanie normalnym Olza potrafi unieść ledwo niedopałki papierosów.

Wiecej wody rymowanej, panowie poeci, a i Olza stanie się splawną.

Makabra. Muzeum cieszyńskie zawiera szereg ciekawych eksponatów:

1) Kolekcja kluczów. Któryś z kupców cieszyńskich za cel swego życia obrał zbieranie staroświeckich kluczów. Dziś cały duży muzeum wypełnia zarzewiate i szerniałe żelastwo, nierzadko dziwnych i pięknych kształtów.

Są to narazie skarby raczej estetyczne. Ale za kilka wieków, gdy myśl ludzka znuży się badaniem szczerzych mózgów i układu wszechświata, gdy się zważy dokładnie rolę każdego przecinka i każdego nonsensu w poezjach epoki pietrkiewiczowskiej, sala z kluczami w muzeum cieszyńskim stanie się drugą doliną Neander: kolebką nowej nauki.

Klawologia, kluczoznawstwo i pobożne: klawopsychologia, klawogeografia, filozofja klucza i t. d., i t. d., mój Boże, ileż jeszcze Nauka ma do zbadania na ziemi!

2) Futuryzm i autentyzm cieszyński. Przed wojną jakiś rosyjski malarz-futurysta na zwykłym, sztalugowym obrazie umieścił — nie pamiętam — autentyczny but czy samowar.

W muzeum cieszyńskim jest obraz przedstawiający wieżę piastowską. Jej słynny zegar na malowidle reprezentuje prawdziwy, tikający zegarek.

Autentysta musiałby tu postawić dwa ciężkie zarzuty: a) czemu zegarek się spóźnia o kilka godzin? b) czemu nie oddano w tem dziele sztuki autentycznych wymiarów wieży i zegara?

3) Religijny fanatyzm. Muzeum przechowuje tarczę Towarzystwa Strzeleckiego w Cieszynie gdzieś z połowy ubiegłego wieku. Tarcza przedstawia obraz jakiegoś świętego (św. Wacława?).

Pozostaje rzeczą niewyjaśnioną, czy czcigodni strzelcy ćwiczyli się w trafianiu świętego czy też (jak zgrane pary cyrkowych miotaczy noży) w omijaniu go. Ślady pocisków bowiem pozostały i na ciele świętego i na tle obrazu.

4) Bez komentarzy. Jest też witryna Zwirki i Wigury. Są w niej dwie fotografie poległych lotników. Wigura leży z ustami rozwartemi, jak do krzyku. Zamiast przeczytać głowy czarna kałuża krwi.

Pieczkowicze rozpięta wiatrówka, bodające żwirki. Krwawe plamy zrudziały i zblakły.

Na dole cegła darnin. Napis: „Ziemia z Cierlicka, przesiąknięta krwią i mózgiem ś. p. Wigury“.

„Numerus clausus“. Jakoś tak się złożyło, że w zjeździe udziału nie wzięli ani Tuwim, ani Wittlin, ani Słonimski, ani wielu innych minorum gentium. Nie trzeba jednak sądzić, że zjazd obszedł się bez żydów, że zastoso-owano w nim zasadę „numerus nullus“. Nie, był tu „numerus clausus“. Wszystkie cechy t. zw. „żydowskości“ godnie reprezentowała licznie zgromadzona grupa „Prosto z Mostu“: papa Piasecki dumnie obnosił swe 50% krwi semickiej, Jerzy Walldorf — swój profil, w którym wspaniale mełamedzka krzywizna nosa doremnie starały się zatuzować wąsiki à la Hitler, Jerzy Pietrkiewicz — wcale nie-aryjski tupet i t. d., i t. d. Konstancy I. Gałczyński w tej ekapie grał rolę wątroby alkoholika w ruchomych wystawach antyalkoholicznych: niby — patrzcie, jak duch żydowski przeżera poezję Słowianina.

Wszystko to przypomina historję, która się zdarzyła w jednym z polskich uniwersytetów. Zawakowała w nim katedra fil-

już w poezji, „poetycznych“ — zawsze natrafia na opór, nieufność i lekceważenie.

— A jak pan teraz z perspektywy tych kilkunastu lat ocenia swoją twórczość na tle ruchu awangardowego?

— Pytanie żenujące. Była to liryka, pozbawiona wszelkich akcentów czy preten-syj społecznych. W grupie ówczesnych moich przyjaciół poetów uchodziłem za przedstawiciela „orientacji francuskiej“. Byłem wielbicielem Apollinaire’a. Zetknięcie się z wierszami tego poety ośmieliło mnie i pozwoliło mi natrafić na swoją własną nutę. Uważam za swoją zasługę to, że zamiast tematu statycznego, wprowadziłem temat płynny, dynamiczny, niekiedy zupełnie luźny, odpowiadający swobodniejszemu ruchowi wyobraźni. O cóż innego szło, jeśli nie o ruch wyobraźni na tle stanów uczuciowych, których nie można ująć w katego-rie radości czy smutku, zachwytu czy melancholji? Często wiersze te powstały z materiału gromadzonego drogą asocjacji. Za kontynuatora, nie za naśladowcę, tego typu poezji uważam Józefa Czechowicza, zwłaszcza w pierwszym okresie jego twórczości. Wyprowadzanie wierszy moich z „peipe-ryzmu“, jak to czyni Czachowski, jest oczy-wistym nonsensem dla każdego, kto umie

zofji. Zwrócono się więc do innego uniwersytetu, gdzie właśnie w tym czasie nabie-rało się mnóstwo docentów filozofji. Byli tam wielcy i mali, mądrzy i głupi, naj-mądrzejszym zaś był dr. A, najgłupszym dr. B. Debatuje senat kogo wybrać. Pewno, że miło jest mieć mądrego profesora, ale dr. A jest żydem. Rada w radę, wybrano dr. B. A wtedy się okazało, że dr. B jest przechrztą.

Szkodnictwo. Otwarto zjazd akademję w Cieszynie Zachodnim. Duża sala szkoły wydziałowej zapchana. Przemowy. Burmistrz Halfar, dickensowska sylwetka, arcy-mistrz gospodarz. Wojewoda Grażyński, ob-darzony przyjemnym, nienadętym akcentem śląskim. Wesolutki starszek Sierozewski. Prezes Goetel, krasomówca, mistrz póź profilowych i „en trois quarts“.

Wierzyński skanduje fragmenty z „Wolności tragicznej“.

Słabe występy muzyczne.

Marja Wiercińska recytuje „Bema pamięci rapso-żałobny“, fragment z „Pieśni o sobótce“ i wiersz Lieberta o karczmie Jurgowskiej. Recytuje niedobrze. Ma płaski, niegłęboki głos. Dobra w lokalach kameral-nych, tu bezskutecznie wysila się na opa-nowanie dużej sali.

I wreszcie powitani huraganem braw wkraczają Węgrzyn (senior) i Socha.

Socha jest bardzo zachrypły, Węgrzyn m niej.

Recytują fragment z „Legjonu“.

Kto układał program akademji w Cieszynie? Komu adresować kolekcję najordynarniejszych wymysłów, których nie wymieniam tu tylko ze względów cenzural-nych? Cóż to za niezbadane procesy myślowe w mózgu nieznanego adresata niniej-szego musiała poprzedzić decyzję wyboru właśnie tego fragmentu, a nie żadnego innego.

Kiepska poezja, zalatująca odorkiem secesji, niezrozumiałe przesłoki myślowe, napuszony, kabotyński dialog. Nie jestem wielbicielem Wyspiańskiego, ale nie sądzę, by można było wygrzebać u niego coś gorszego niż fragment wybrany.

Sytuację ratował Węgrzyn. Korzystając z kapitału zaufania zgrywał się na całego, ryczał ni stąd ni zowąd, wywra-cał oczami, jęczał, „ironicznie“ odcędał te wszystkie „lazzarone“, podskakiwał, odskakiwał, kiwał głową, miętosił bardziej niezrozumiałe okresy — słusznie licząc, że chociaż gdyby tak czynił aktor bez nazwiska uznanoby to za kiepską zgrzywę, to jednak, ponieważ czyni to Węgrzyn, niezblazowana ludność cieszyńska łatwo uwierzy, że tak właśnie wielka sztuka wyglądać powinna.

Socha nie bez powodzenia usiłował mu wtórować. Był jednak w gorszej sytuacji: miał mniejsze nazwisko i większą chrypkę.

Program akademji musiano obciąć. W rezultacie poezję polską reprezentowali: Kochanowski, Norwid, Wyspiański, Liebert i Wierzyński. Widocznie dla Mickiewicza i Słowackiego nie udało się znaleźć wolnego miejsca. Nie znalazło się też miejsca wśród wykonawców dla Władysława Woźnika. Najlepszy dzisiaj recytator trafił więc do godnego towarzystwa dwóch największych polskich poetów.

Gdyby ten program (zwłaszcza zaś fragment z „Legjonu“) wykonano w Sowietach sprawcę nazwanoby szkodnikiem i rozstrzelano.

Nie jesteśmy państwem tak krwiożer-czem i dlatego casus powyższy należy nazwać innym terminem sowieckim: „głowo-tapiastwo“.

Jabłonków. W niedzielę stu uczestni-ków zjazdu zebrało się przed hotelem „Polonia“. Trzeba ich było podzielić na cztery grupy: A, B, C i D, z których każda miała inną trasę. Ale wyłoniła się nieoczekiwana trudność: wszyscy chcieli należeć do A,

czytać, nie mówiąc już o tem, że wiersze te powstały, zanim Peiper sformułował swoje zasady poetyckie, które zawsze były mi obce. Systematyczny umysł Peipera, jego wytrwałość i pracowitość zapewniły mu wpływ na dalszy bieg ruchu nowatorskiego, toteż późniejszym obserwatorem jego doktryna poetycka, która dla nas oznaczała pewnego rodzaju reakcję estetyczną, powrót do regularności rytmu i strofy, teorja i praktyka „pięknych zdań“ z przewagą metafor retorycznej i pojęciowej, przesłaniały wszystko i wszystkich. Sądzę, że pierwotne zamierzenia ruchu nowatorskiego nie były wcale doktrynalne.

— Nakoniec jeszcze jedno pytanie. Co sądzi pan o obecnych nurtach poetyckich nazywanych „awangardowemi“?

— Muszę ograniczyć się do spostrzeżeń ogólnych. Jest kilku utalentowanych poetów, każdy z nich ma odrębne oblicze i każdego stać już na to, aby rozstać się z tą piękną nazwą „awangarda“, która już nic nie znaczy. Dostrzegłem jednakże ostatnio niebezpieczeństwo sztuczności, odradza-jących się smaczków secesyjnych, rozlew-ności, brak „szkoły Rimbauda“. I jeszcze jedno. Zjawia się rodzaj poezji niezrozumiałej dla mnie: zamiast kompozycji obrazów, jakiś irracjonalny zbiór refleksyj, myśli abstrakcyjnych, wypowiedzi uczuciowych. Niepostrzeżenie przekroczono granicę, za którą znowu zaczynają się pozorne „głębie“ i frazeologia. Materja utworu poetyckiego rozlatuje się i mam wrażenie, że zatracą się wspólność wewnętrzna utworu. Czy poezja dzisiejsza nie powinna stać się bardziej całostkowa i klarowniejsza?

nikt zaś nie chciał do D. Zamieszanie. Krzyki, pokątne intrygi i prośby. Prezes Goetel dzielną ręką okiełznał podstarzały tłum nagle odroczonych sztabaków. Apeluje do ochotników. Gdy to nie wystarcza, wyznacza karny oddział i wysyła go do D.

Grupa A jedzie do Jabłonkowa. Niema autobusów, wiozą nas prywatne samochody jabłonkowskich obywateli. Jabłonków liczy ponad cztery tysiące mieszkańców i, jak widzimy, ma kilku posiadaczy samochodów.

Program poranku w Jabłonkowie, powtórzony potem w Trzyńcu, o całe niebo góruje nad reprezentacyjną akademją cieszyńską. Treściwa mowa prof. K. Górskiego, doskonałe recytacje Woźnika (zwłaszcza fragment „Kordjana“), miłe opowiadania Kuncewiczowej, Wierzyński, Dobrowolski, Rembek.

Trzyńciec. Potężna huta. 5.000 robotni-ków. Zwiedzamy wielkie piece i bloomingi, niestety, nieczynne (niedziela). Na wieczorze publiczności niewiele. Prawie wyłącznie personel techniczny i młodzież szkolna.

W zarządzie huty trzynieckiej pracuje obecnie poeta zaolziański, Paweł Kubisz. Wita nas przemówieniem pełnem dziwnych akcentów zdenerwowania i niepokoju.

Książd pastor i Ferdynand Goetel. Za-służony działacz zaolziański, bojownik pol-skości, świetny mówca, człowiek bardzo kul-turalny i miły, słowem ks. pastor Michejda spotkał się w Trzyńcu z Goetlem. Podobność między nimi wywiązała się następująca rozmowa:

— Ach, Goetel! Znałem kiedyś Wale-rego Goetla.

— To mój ojciec.

— Aha, no, a pan, co pan robi?

— Jestem pisarzem.

— A, to bardzo dobrze, bardzo dobrze.

Katowice. W poniedziałek jesteśmy w Katowicach. Deszcz. W domu oświatowym wielka uroczysta akademja dla młodzieży szkolnej. Najpierw miłe podpisy regionalnej ekipy żeńskiej z (bodajże) Tarnowskich Gór.

Ale potem znowu to samo. Znowu Węgrzyn i Socha z „lazzaronami“, Wiercińska z „Portepianem Szopena“, znowu niema miejsca dla Woźnika. Namysłono się dopiero podczas akademji. Nieprzygotowany psychicznie artysta krakowski wygłosił fragment z „Kordjana“ nieco słabiej niż w Jabłonkowie.

Na deser podano Osterwę. Piękny fragment z Wyspiańskiego. Sala szaleje. Osterwa musi bisować i, zapewne, by go więcej nie dręczono, słabo recytuje „Ode do młodości“. Popelnia parę drobnych prze-oczeń. Jedno nieoczekiwanie aktualizuje tekst mickiewiczowski: „dalej bryło z posad świata“.

Ileż to brył siedzi na wielu posadach! Która z nich tak bardzo wżarła się w pamięć znakomitemu artyście?

Pożegnanie jesieni. Zakończenie. Dwie uczennice w strojach regionalnych podają Sieroszewskiemu wiązankę kwiatów. Prezes P. A. Lu z ułańską brawurą i znowstem całuje z dubeltówki zapłonione dziewczyny. Burza braw.

Uczestnicy rozlażą się po mieście. Deszcz. Katowice nie urządzają przyjęcia, stuosobowa grupa momentalnie się rozla-muje na drobne koterje. Idziemy szukać knajpy przystępnej dla naszych wileńskich kieszni. Naprzeciw nam idzie Irzykowski otoczony girlandą sztabaczek. Deszcz.

Jerzy Putrament

Prenumerata jest podstawą bytu i rozwoju „Sygnałów“

LITERATURA LITEWSKA W POLSCE

Dzisiejszy polski czytelnik demokratyczny z wielką trudnością może wyobrazić sobie całość życia kulturalnego w granicach Rzeczypospolitej, ze względu choćby na narodowościową mozaikę państwa, całkowitą odmienną i różnorodność sposobu porozumiewania się na poszczególnych terenach. Peryferje kraju jakże często stają się swoistą egzotyką, niekiedy godną podziwu, ba, nawet zadziwiającą swą niepospolitą. Jednak przeżywane dni, obfite w wypadki i niespodzianki, wiążą przedstawicieli obozu demokratycznego dokoła tych zagadnień i spraw, które dotyczą podstaw bytowania wolnej myśli a jednocześnie mogą uwarunkować zmianę oblicza dzisiejszego dnia. Toteż wiele pałaców spraw i całej dorobek kulturalny marginesowych terenów zanika, aczkolwiek niesłusznie, w cieniu zachodzących wypadków i zmian.

Kresy północno wschodnie — to szary, pospolity i monotony krajobraz dla wybrednych turystów. Ziemia nieurodzajna. Na piaszczystych zagonach widać wiejskie chałupy. Nędznie wygląda chłop w sierniegdzie obok pana ze dworu. Jednak ziemia ta wydała wielu wybitnych ludzi. Przecież tutaj w tajnych organizacjach i w celach wieziennych rozpoczęli swą działalność romantycy, by w nieugiętej walce „zetrzeć hydrze leb”. Na Ziemi Wileńskiej wyrosli i zahartowali się spiskowcy — „bezdaniacy”. Wilno stało się siedzibą skazanych na wymarcie „żubrów kresowych”. Straszna w swej niemocy, rozpaczliwa, jakby w przeczuciu swej klęski, jest walka Cat-Mackiewicz. W tym mieście powstały „żagary”, stworzyła się grupa Dembińskiego. Nie jest rzeczą przypadku, że jedynie w Wilnie rozgorzała prawdziwa, aczkolwiek nierówna walka wyborcza — Skwarczyński—Żeligowski. Znanie jest to miasto, którego przeszłość niejednokrotnie wplotła się w tradycję i jest mile nie tylko zwolennikom dworu, ale także i tym, którzy sierniegę zamienić chcą na lepszy przyodziewek. Jednak o życiu na tych wielkich terenach, które zamieszkują ogromną masą Białorusini i częściowo Litwini, rzadko dowiaduje się czytelnik polski. Kiedyś o wsi białoruskiej pisał poeta Miłosz, iż chłopci chowają w strzechach słomianych karabiny z obciętemi lufami, a wieczorami gromadnie śpiewają „marsz Budiennego”. Ileż to razy rozmaite brukowce nazywały tereny białoruskie miejscem działania kominternu. Białorusin musiał być synonimem agenta ościennego państwa. „Asymilacja” — to środek Cata wobec Białorusinów. Endecja nawet i dziś nie spostrzeżga narodowości białoruskiej, tylko jakąś tam odmianę „poleszków”.

Doniedawna nieco podobne poglądy były głoszone także wobec Litwinów zamieszkających na Wileńszczyźnie. Prasa reakcyjna starała się udowodnić, że ludność litewska jest wytworem sztucznym, potrzebnym dla dywersyjnych celów z tamtej strony Niemna. Litwin, jak i Białorusin, w określeniu reakcyjnej prasy miał być osobnikiem czyhającym, aby w odpowiedni czas wbić zatruły sztylet w plecy niepodległego państwa. Próbowano nawet naukowo udowodnić tezę „Gente Lithuani natione Poloni”.

Jest rzeczą zrozumiałą, że w takich warunkach wszelki ruch kulturalny, nawet literacki, spotyka się z zarzutami podlegającym paragrafom kodeksu karnego. Nic więc dziwnego, że powolny jest rozwój ruchów liteackich na peryferiach kraju. Jednak i w tych warunkach krepka, hartowała się i rozwijała literatura „kresowa”. I kiedy w twórczości Maksyma Tanka białoruska literatura znalazła swój najdoskonalszy wyraz, kiedy twórczość tego poety została należycie oceniona w „Pionie”, w szczególności zaś w „Sygnałach”, wielu mogło przekonać się o błędności tych zarzutów, a jednocześnie dowiedzieć się z oceny o zdobycach literatury narodowościowych, które zazwyczaj są traktowane jako „regionalne”, a nawet „provincialne”. Wszelkie kierunki literackie, wzbogacające rozwój literatury, znajdując często żywy oddźwięk właśnie na „kresach” i tu rozwijają się bardziej niż w głębi kraju, ponieważ surowa rzeczywistość wyklucza pojęcie uwiadu.

Litewska literatura w granicach państwa polskiego powstała samodzielnie, a nawet niezależnie od literatury Litwy. Wiejski chłopak po wstąpieniu do litewskiego gimnazjum, w chwilach młodocianego porywu chciał wyrazić w wierszu to co sam czuł lub czego pragnął jego językowa wspólnota. Mniej więcej przed dwudziestu laty powstały pierwsze załączki miejscowej literatury litewskiej, która z biegiem czasu potrafiła osiągnąć taki poziom, iż obecnie coraz częściej spotyka się o niej głosy uznania nawet w literackich czasopiśmie Litwy. Niedawna zaś poetycka wymiana z Białorusinami wskazuje, że „regionalna” literatura jest zdolna przezwyciężyć nawet „provincialność”.

Przed kilkoma laty rozwijała się przeważnie proza. W powieściach Rapolasa Mackeviciusa, autora szeregu książek, dominuje wyłącznie krajobraz Ziemi Wileńskiej, na którego tle rozgrywa się akcja żywca wzięta z życia Litwinów (zagadnienia dworu i wsi, inteligencji i chłopów). Jednak R. Mackevicius, daleki jest od literatury realistycznej. Dając się wyraźnie wyczuć publicystyka w jego powieściach uwypukla wszystkie poruszane przezeń narodowe zagadnienia, których podłoże stanowi drobniomieszczańska racja bytu. Na tej samej płaszczyźnie widoczna jest także sylwetka młodego prozaika Ul. Radziulisa. Tematyka Radziulisa jest pokrewna tematyce Mackeviciusa. Albinas Žukauskas na-

piisał wiele ciekawych nowel, w których opisuje szczególnie nędzę Suwalszczyzny. Nowele jego pozbawione są sielankowego charakteru. Zarówno treść jak i styl stanowi poniekąd odbicie trudnego życia i żmudnej walki chłopów litewskiego. Diatego A. Žukauskas zajmuje w miejscowej literaturze litewskiej samodzielną i wyróżniającą się pozycję. Często są spotykane nazwiska następujących nowelistów: Vlada Rusokaite, Jonas Petkus, Petras Svyra i in.

Twórczość dramatyczna zawdzięcza swe powstanie młodemu artyście i gorącemu krzewicielowi sztuki teatralnej. Juozas Kanopka napisał kilka utworów scenicznych o lokalnym charakterze. Jednak te pierwsze próby stworzenia literatury dramatycznej znalazły słaby oddźwięk. I tylko V. Czepulitė i M. Krinickaitė — dwie niewiasty razem piszące — są jedynymi reprezentantkami sztuki dramatycznej. Napisały one cztery utwory sceniczne.

Przodującą pozycję zajmują poeci. Litewska poezja w Polsce bodaj pierwsza wyzbyła się epigonizmu przedwojennej literatury litewskiej, której czołowym przedstawicielem był ks. Maironis. Dzięki temu młoda generacja poetycka mogła korzystać ze zdobyczy polskiej poezji ostatnich lat.

Zbiór wierszy Władasa Radziulisa jak gdyby zamknął okres bezradności w miejscowej poezji litewskiej. Ona Miciute wy-

daje własny zbiór wierszy p. t. „Žiburiai pelkese“ („Piomyki na bagnietach“). Obok przestarzałych formalnie znajdujemy w tym zbiorze wiele wierszy doskonałych, prób nowoczesnych form. O. Miciute zdobyła także rozgłos w Litwie. Jednak nuta pesymizmu i społeczna bezradność ciąży jeszcze nad talentem młodej poetki. Debüt Juozasa Keksztasa „Toks gyvenimas“ („Takie życie“) jest ambitną próbą opanowania poetyckich form Majakowskiego, Broniewskiego i in. J. Keksztas umiejętnie zapożycza rewolucyjną formę, lecz nie jest jeszcze zdolny powiązać ją z odpowiednią treścią. Tematyka wierszy J. Keksztasa, chociaż radykalnie społeczna, jest zbyt przepleciona indywidualizmem. „Laikai iz žmones“ („Czasy i ludzie“) — wiersze Albinasa Žukauskasa, najlepiej wyrażają dzisiejszą rzeczywistość. Žukauskas kształcił się w szkole Czuchnowskiego, Miłosza i całej „awangardy“. Treść czerpał z życia chłopów litewskich i ich walk, zaś pogląd na świat (nie polityczną ideologię) pogłębiał u Malraux. Miciute, Keksztas i Žukauskas — trzej poeci — trzy kierunki poetyczne. Zigmąs Tureika, to bodaj jedyny poeta, próbujący stworzyć miejscową litewską satyrę. Należy także wspomnieć o innych poetach, jak np. V. Kuolaitis i J. Czeikauskas.

Literatura litewska w granicach państwa polskiego rozwija się i kroczy własnymi drogami. Wszystko co jest wspólne, wszystko co wzbogaca polską literaturę znajduje w niej także żywy oddźwięk.

Jonas Dagys

O TEATRZE GACAKÓW

Dobrze się stało, że właśnie „Sygnały” podjęły się oceny naszego teatru, oceny szczerzej, nie ograniczającej się do jednostronnie życiowej pochwały. Umożliwia to nam powiedzenie czegoś więcej o grupie, za którą bierzemy odpowiedzialność i o sprawie, z którą poszliśmy do miasta.

Artykuł Franciszka Gila („Sygnały”, nr. 64) potwierdza jeszcze raz tę prawdę, że dogadywać się trzeba, oraz że dogadywać się jest trudno.

Czy porozumiemy się z ludźmi, na których nam zależy, o tem zadecyduje przede wszystkim przekonanie o potrzebie porozumienia się i dobra wola dyskutujących.

Nieporozumień jest wiele i są one poważne w skutkach na terenie życia demokracji.

Teatr Gacki został potraktowany w „Sygnałach” z wyrażną „wrozumiałością” i po inteligencku.

Sam sposób pisania o nim przypomina rozmowę „państwa” między sobą, przy pokojówce, po francusku. I właśnie o niej.

Jeden z Gacaków chwycił skwapliwie „Sygnały” do ręki i zaczął czytać: „Bo to o nas!“. Przeczytał kilka zdań i powiedział: „Cóż z tego, kiedy nie nie rozumiem”.

A nie jest to chłopak ograniczony, rozumie wiele spraw ważnych, tylko poprostu nie zna „kulturalnego” języka autora artykułu.

Przejaskrawienie kontrastów — owej rozczulającej bazgraniny — prymitywu i lśniących lustrami sal — owej harności chłopów i wytworności pań i panów — wydaje się nam również nieco — literackie. W gromadzie widzów widzieliśmy bowiem przewagę skromnych i prostych ludzi pracy, bądź to w zespołach robotników, bądź też w postaciach szanownych przedstawicieli nauki.

Nasza gromadka zaś nie starała się wyróżniać oryginalnością „gbiurowatości” — czy prostactwa i poza różnicą w ubiorach, kontrastów tak jaskrawych nie dostrzegaliśmy. Kolorowość dziewczęcych strojów nie świadczyła bynajmniej o chęci obleczenia się w piórka teatralnej swojszczyzny; poprostu byliśmyw odziane w swoje własne niedzielne ubrania, byliśmy sobą.

Najżywiej przypomina nam w artykule Gila recenzje teatralne (dość typowe dla zawodowych recenzentów) moment zwracający uwagę na przodującą osobę — popisującą się w tańczącej gromadce podstarzałą „gracją”.

Kończąc jednak tę nieco zbyt osobistą gadaninę i przechodząc do spraw naprawdę poważnych.

Rzeczywiście, idąc z teatrem naszym do miasta chcieliśmy powiedzieć o bezpodstawności sądów utartych w mieście o wsi.

Była więc wyraźna tendencja, wcale nieukrywana pod pozorami „zabawy w teatr”.

Ale przecież mógłby ktoś z nas wygłosić odczyt, mógłby zespół sam ograniczyć się do recytacji utworów znanych proletariackich pisarzy, mogły być przeróżne sposoby do powiedzenia o wsi — poza teatrem.

My poszliśmy z teatrem. Zmęczenie, zachrypnięcie, prostota form naszego teatru nie pozbawiły nas jednak przeświadczenia, że w gromadce Gacaków odbywało się pewne misterjum wyrażania „kawału życia” w sztuce. Sami poddawaliśmy się działaniu tego czaru, który roztacza wokół siebie piękno. Jesliby występ nasz był okłaskiwany jedynie dlatego, że ludzie wyrażali w ten sposób uznanie dla wsi, dla pracy Uniwersytetu i solidarność ideową, to oczywiście nie byłoby sensu robić takich „przedstawień”.

I tu byłoby ważne i konieczne, aby zabrał głos artysta i od strony sztuki (nie krytyki sztuki, ale twórcy) powiedział, czy i o ile w próbach naszych, w naszym poszukiwaniu form i wyrazu jest piękno.

W ocenie rzeczy własnych, nowych ciąży na opinii naszych inteligentów nałóg porównywania, szufladkowania i pieczętowania wszystkiego, co się ocenia.

Więc „W nocy o północy” stara, prosta i jasna jak słońce pieśń doczekała się uznania jej pokrewieństwa z Przybyszewszczyzną, kiedy chłop widzi w niej samą w sobie słuszną i wszystkim prawdom krewną — prawdę: nawet zbrodnia może w człowieku zbudzić drżące dobro, jeśli następstwem zbrodni będzie cierpienie i jasnowidzenie, odróżniające złe od dobrego.

Natomiast daleko sięgająca myślą, a głęboko naszym rzecz o Żydzie — szlabaniarzu — nie znalazła pieczętka i nie została zdaje się zrozumiana przez ogół widzów i słuchaczy.

Przecież to nie była historia o losach przeciwnego Żyda. Nie o Żyda zresztą tu chodziło; o człowieka wpatrzonego w cel, w ideał. Jakże bliski nam jest Szaja. W zapatrzeniu swoim w Jeruzalem, w marzeniach o owej świętej mikwie, w traktowaniu codziennego życia jedynie jako mijanych kilometrówych znaków na dalekim, jasnym gościńcu. Do Jeruzalem nie frunie, nie przeleci ponad czasem, obowiązkiem — ziemią na której żyje. Więc po drodze ku Jeruzolimie załatwia i zaspakaja potrzeby swoich najbliższych, sumiennie, z wiarą w pewność i realność celu.

Więc codzienne jego życie rozjaśnione jest blaskiem tęsknoty — a tęsknota nie wyrwa go z korzeniami z życia...

Oto prawda o Szai, Żydzie, Człowieku, o każdym z nas.

I tu — wyrzut. Poważny wyrzut w „Sygnałach”: Nie pokazaliście prawdziwie zbuntowanego, dzisiejszego — chama! Czy nie pokazaliśmy istotnie?

Trzeba by najpierw porozumieć się, co dla nas jest najistotniejszą wartością w w chłopie i w człowieku wogóle i czy nasz sąd pokrywa się z sądem oceniających nas ludzi.

Gdyby chodziło o to, że mało daliśmy rzeczy o wybitnie społecznej, dzisiejszej tendencji, to wiadomo było wszystkim czytającym lwowskie pisma („Wiek Nowy”), że program nasz zniekształciła cenzura, przekreślając właśnie te — czarno na białym pokazane — tendencje nasze społeczne, dość hardo a mocno nazwane. Był tam wiersz B. Dejworka: „Trzy idee” i wyjątek ze „Słowa o Jakóbie Szeli” Jasińskiego.

Alę gdybyśmy się porozumieli w pojmowaniu „buntu” i nowoczesnego chłopstwa, to z całą pewnością i w tych nieobciętych cenzurą inscenizacjach znaleźlibyśmy — wszyscy przyjaciele nasi — pełne wyznanie naszej wiary.

Trudno pisać o tem wyczerpująco — tak za jednym zamachem. Zresztą — przebiegnijcie raz jeszcze pamięcią tamte nasze piosenki i wypowiedzi i poszukajcie chłopca, o którym mówią w skali najszerszej, ludzkiej. Znajdziecie.

Może w Szai? Może w „Budowie”. Może właśnie w zupełnym ominięciu chamsztwa, zemsty, nienawiści? Właśnie w tem.

*

Sprawa teatru chłopskiego i robotniczego staje się sprawą na czasie. „Sygnały” właśnie poświęcają jej wiele miejsca; dużą troskę o nią wyraził Marjan Czuchnowski.

Nasz przyjazd do Lwowa jest przyczynkiem do dyskusji w tej pałacej kwestji. Piszcie, krytykujcie, szukajcie i pomagajcie.

Uniwersytet w Gaci wywiera wpływ wyrażny na teatr wiejski, szczególnie wiciowy.

Co roku kilkudziesięciu chłopów po skończonym uniwersytecie gackim próbuje swoich sił w teatrze. Robią oni inscenizacje pieśni i poezji, inscenizują nowele i powieści, tworzą własne „sztuki z głowy”.

W trosce o sprawę teatru chłopskiego wejdźcie w tę naszą robotę.

Przyjdźcie nam z pomocą, wnoście swoje poezje i pomysły, ale czyńcie to z bezpośredniej bliskości.

Po jednym z lwowskich naszych przedstawień przyszedł za kulisy Jan Zaremba, autor „Pogodek góralskich od żywca”.

Zaofiarował on nam — na gorąco — swoją pomoc w inscenizowaniu humoru chłopskiego. Chce przyjechać do nas, próbować, radzić. Czekamy.

Może nareszcie przyjdziecie na wieś i o sprawie chłopskiej sztuki, tak jak o sprawie chłopów w Polsce radzić zaczniecie z nim samym, jego językiem i jego chłopskim sposobem.

Zofia Solarzowa

Teatry warszawskie

W twórczości dramatycznej rzetelne osiągnięcia zdobywa się nie przy pomocy, lecz raczej naprzekór aparatowi technicznemu, jakim sztuka w danej epoce rozporządza. Najmilsze fantazje szekspirowskie powstały w czasie, gdy dziedziniec przygodnej oberży służył za całą oprawę dramatu; dziś, kiedy bogactwo środków pozwala na realizację najtrudniejszych koncepcji, twórczość razporaz wyrzeka się tej maszynierji, stara się całą poezję zmieścić w wózku wędrownego komedjanta. Takim nawrotem było np. „Sześć postaci” Pirandella; a niemają z tej pirandellowskiej ascezy jest i w sztuce T. Wildera „Nasze miasto”, zaprezentowane pizez Teatr Narodowy.

Jest to właściwie jeszcze jedna wersja „człowieka z thumu”, próba mitologizacji mieszczańskiego żywota, ucieczka od jego beznadziejności do kręgu mistycznych przeznaczeń. Wiele już było takich dramatów w niebie szukających jakiejś „wyższej racji”, która pozwoliłaby zjadaczom chleba uwierzyć we własne anielstwo. Pirandello widział swą rację w zaprzeczeniu samej szarzyzny, spod codzienności odgrzebywał dramat; Wilder — stare, brodate dziecko amerykańskie — szuka jej w biblijnych czytankach, w „częście nieśmiertelności” czekającej na swe zagrobowe wyzwolenie. Ale jak w sztuce Pirandella cenna była nie filozofja, lecz piękny i doskonały obraz procesu twórczego, tak i „Nasze miasto” cenne jest nie dla swego mistycyzmu z niedzielnej szkółki.

I nie dlatego także, że odbywa się bez dekoracji i rekwizytów; początkowo budził to nawet pewne zniercierpliwienie. Postacie sceniczne chodzą po nieistniejącej ulicy, pustemi rękoma sadzą groch, i szeroko rozkładają ręce czytając gazetę, której няма. Toteż po akcie I przedstawiającym „dzień powszedni” miasteczka, widz poczyna z rozręzieniem wspominać Ben Akibę i z nieufnością spogląda na pisarza, który w tak wymyślnym sosie przemycia stare i niezupełnie świeże potrawy. Już jednak akt II — miłość i małżeństwo — budzi refleksje nieco inne; zza pozornego tricku reżyserskiego ukazuje się — w scenie ślubu — jakaś inna, odrealniona rzeczywistość, odrzucenie zewnętrznego gestu tem wyraziściej zdradza jego wewnętrzną treść. Akt III — śmierć — sankcjonuje już całkowicie formę dramatu; nie tylko dlatego, że tego aktu — z pogrzebem, rozmowami zmarłych i wędrowką dusz poprzez własne życie — nie sposób utrzymać w ramach scenicznego naturalizmu, ale i dlatego, że forma tu dopiero uzyskuje swą treść, staje się symbolem myśli — myśli o znikomości spraw żywota wobec samego faktu istnienia.

Zapewne, na takiej filozofji bierności wobec rzeczy doczesnych trudno zajechać dalej niż do pierwszej kapliczki. Ale bądźmy skromni: tyłu ludzi chodzi na głowie bez powodu, niech nam wystarczy, gdy ktoś może się powołać choć na jakieś racje, oczywiście, jeśli wyrzekając się odnoży zachowuje jednak pewien wdzięk. Otóż o sztuce Wildera tyle można powiedzieć z pewnością, że operuje techniką sceniczną własną, pomysłową i konsekwentną. Technika ta — to jakby synteza dramatyczna formy powieściowej; przyszłym przykrawaczom powieści na scenę polecić można „Nasze miasto” jako przykład, jak mogłaby wyglądać taka transkrypcja. Znakomicie zwłaszcza rozwiązuje Wilder zagadnienie wkomponowania samego autora (w postaci „dyrektora teatru”, a właściwie komentatora, reżonera i mechanika akcji scenicznego) w bieg dramatu.

Trudno byłoby bez Schillera pomyśleć o wystawieniu tej sztuki, którą wykołbieć może jeden fałszywy akcent. Przedstawienie utrzymane jest w znakomitej harmonji, a koniec aktu I, scena ślubu i cały akt III — to majstersztyki, jakich nie widzieliśmy już dawno. Najmniejszych też няма niedociągnięć w rysunku poszczególnych postaci; zarówno Zelwerowicz (znakomity dyrektor teatru) jak i wszyscy inni wykonawcy dostrojeni są świetnie do przewodniego tonu. Jeden tylko profesor, opowiadający widzom dzieje miasta, za bardzo może odcina się jako samoistna groteska.

Ileokroć Schiller, odsunięty od teatru, pojawia się w nim przygodnie, zwykło się wyrażać nie zawsze szczerą radość spowodowaną umiłowaniem mu choć w tej formie pracy. Jest to radość człowieka, któremu zabrano spodnie i marynarkę, że została mu choć kamizelka; toteż sądzi, iż słuszniejszą byłoby rzeczą domagać się zwrotu całej garderoby.

Jerzy Pański

Poezja Szymańskiego

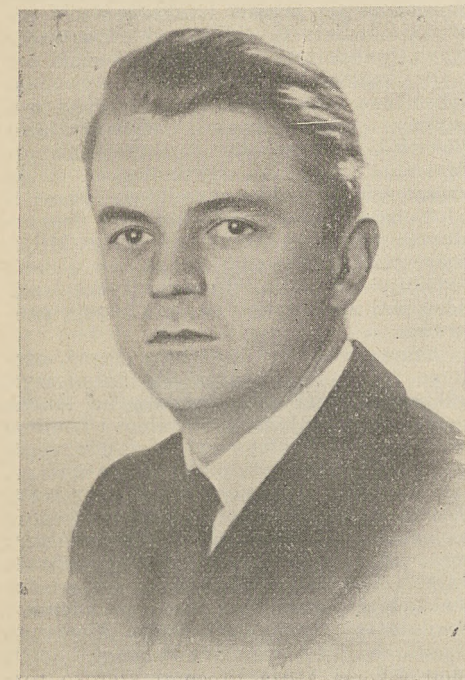
Nazwisko i wiersze Szymańskiego znane są doskonale wszystkim zespołom i scenom robotniczym, choć poeta od reklamy stroni, do godności „wieszczą narodowego” nie wdycha i skromnych tomików swoich nie zdobi pieczęcią oficjalnego uznania. Ale może dlatego właśnie tak łatwo i prosto trafia Szymański do tych serc, przed którymi serce swoje szeroko otwiera, aby jego żar i jego wiarę przelać w słowa zwartej i gorącej strofy.

W „Balladzie o sobie samym”, napisanej przed kilku laty, poeta wyznaje:

„Słowa moje są złe i proste,
nieowinięte w jedwab.
W niedosycie i bólu urosem —
o wdzięk nie dbam.

Przychodzę nienawistny spokój twój zakłócić,
zgrzytem zagrać na każdym nerwie.
Ani ciężaru mego z piersi nie zrzucisz,
ani rąk nie oderwiesz“...

A w późniejszym znacznie wierszu, poświęconym „Dalekiej siostrze”, kończy wezwaniem, powtarzającym się jak motyw przewodni w całej niemal poezji Szymańskiego: „Nie we snach — w trudzie, nie we łożach — w walce, życie szczęśliwe buduj!“



Edward Szymański

Otóż właśnie: Edward Szymański jest poetą pracy i walki, a twórczość jego — to protest gwałtowny i namiętny, biorący początek z głębokich źródeł miłości człowieka, z poczucia dziejącej mu się w świecie dzisiejszym krzywdy i niesprawiedliwości. „Jeśli pisarz chwali się, że jest tylko pisarzem — mówił Anatol France — to jakby mańkut chlubił się, że posługuje się jedną tylko ręką“... Szymański ani chce, ani może być takim „mańkutom“: w obliczu rzeczywistości nie pozostaje obojętny — nie afirmuje jej, lecz odważnie z nią się ściera i walczy. Stąd też postawa Szymańskiego jako pisarza jest przedewszystkiem postawą bojownika, a jego słowo brzmi jak apel i pobudka.

Wyrosły „w niedosycie i bólu“, w dymach fabryk robotniczej Woli (por. wiersz „Curriculum vitae“), zna Szymański nawskroś i dogłębnie ból i niedosyt pracy najemnika. Niema przedziału i przegrody między poetą a losem dręczonego w jarzmie wyzysku człowieka. Jest wzajemny szacunek, i zrozumienie, i współgranie uczuć, otwierających bramy do innego jutra. Zamiast kwileń i zawodzeń lirycznych, zamiast fioritur i zawijasów super-techniki poetyckiej, zamiast pozy, blagi i napuszonej, dobrze rentującej, „podniosłości“ i „krzepy“ — znajdujemy w poezji Szymańskiego mocny kościć ideowości, program jasny, uczciwy i pozytywny. Tak jak to formuluje poeta w utworze chóralnym na uroczystości 20-lecia Niepodległości — w imieniu własnym i tych, których reprezentować ma prawo:

„My od Polski nie chcemy pieniędzy,
tylko pracy
i tylko chleba,
żeby słońce z ojczystego nieba
nie świeciło niedoli i nędzy“.

Jakże dalekie jest to co pisze Szymański od puchowych pierzyn konformizmu, od piruetów i lansad zawodowych „podskakawiczów“! W „czasach pogardy“ — moralny pion, charakter i dumny upór w dążeniu do celu najcenniejszymi są chyba zaletami człowieka, na konjunkturalne pokusy wciąż wystawionego. Wiersze Szymańskiego niosą w sobie płodny ferment i twórczy niepokój: łuskę zdejmując z oczu, słyszeć każą, uczyć i tłumaczyć, trasę dziejowych konieczności w pełnym stawiają świetle. Poeta wie czego chce i do czego dąży, rzucający wyzwanie temu, co go dziś otacza. W wierszu „Do robotników Warszawy“ taka jest strofa naczelną:

„Nie przychodzę do was zalewać,
pchać w usta kłamstwo. Jak knebel.
Nie nagrody się od was spodziewam,
nie pomnika pod golem niebem.
Bródno i tak nie ucieknę
(trumienka, piasek, robaczek),
zdechnąć — kiedyś się zdechnie,
a ja chcę żyć inaczej!“

„żyć inaczej“... To wszystko. Dwa słowa, a treści w nich ogrom. Z potęgi tego pragnienia rodzą się słowa śmiałe i celne. Wybuchami ironii razporaz zło miażdżące („Cukier krzepi“), „Bajeczka zimowa“, „Powitanie“, i in.).

Zdaje sobie doskonale sprawę, że społeczny charakter poezji Szymańskiego może stać się nieprzebraną kopalnią zarzutów ze strony snobów i zapatrzonych w „czystość“ sztuki pięknołuchów. Bo jakże to? Obniżenie lotów i zepchnięcie poetyckiego słowa na poziom codziennego utylitaryzmu. Wierszowana publicystyka w miejsce nieskalanej formy, jakaś tam agitacja zamiast przepychu barw i odurzających aromatów. Ale tak sądzić mogą tylko ci, którzy właśnie degradują poezję do roli usypiającego narkotyku, albo też błyskotki, ciesząc się powierzchownie zmysły... W rzeczywistości jednak inaczej sprawa ta wygląda, inne trzeba tu stosować miary i kryteria. Już Norwid pisał o „pewnej proporcji utylitarności, która jest warunkiem piękna“, a znany krytyk i publicysta socjalistyczny Fr. Mehring słusznie dowodził, że „poeci nie spadają z nieba, lecz żyją i tworzą w konkretnych warunkach walki klasowej swoich narodów i swoich czasów“.

Wielu jest poetów, którzy o tych „konkretnych warunkach“ zapominają i dostrzegać ich nie chcą. Tak jest wygodniej i to zazwyczaj popłaca. Ale Szymański wie dobrze, że „nie spadł z księżycy“, oczy ma ku patrzeniu, a uszy ku słyszeniu — dlatego też poezja jego — nie stroniąc od „pewnej proporcji utylitarności“ — jest twarda, bojowa, nieustepliwa i odważna. Twórczość Szymańskiego bliską w tendencjach i wydźwięku twórczości Władysława Broniewskiego, można scharakteryzować słowami wiersza tegoż „Do przyjaciół — poetów“: „...My, podpalacze serc, — dynamitardzi sumień, — recydywiści marzenia, — gniewu

i entuzjazmu“... Któż śmiałby się wstydzić poezji, treścią wielkiej idei nasyconej?

Nie trzeba jednak wnioskować z tego wszystkiego, że Szymański — poeta jest monotony, ograniczony i kańciasty, że przytłacza nadmiarem proletariackich rekwizytów i ogłusza fanfarami niekończących się marszów. Bynajmniej: bo nawet w słowie ostrym, gniewnym i brutalnym słyszymy zawsze głos artysty, a nie wyrobnika, partolącego byle jak takie czy inne „zamówienie“. Szymański zna wagę i dalekość poetyckiej strofy i rozumie odpowiedzialność ciążącą na twórcy. Więc w chwalebny wysiłek stara się unikać paskalnych banałów i zużytych klisz wierszowych, odwagi nie utożsamia z efronterją, szczerości z bezwstydem, woli z fanatyzmem. W tych kipiących uczuciowym ładunkiem wierszach, w tej poezji iskrą buntu do czerwoności rozgrzanej znajdziemy niemal zawsze ład i harmonię kompozycyjną i dobrze świadomą umiejętność w wyborze środków i chwytów formalnych. Zapewne, są tu gdzieś drobne koncesje na rzecz panującej „mody“ (np. dzielenie niektórych wierszy strofy na dwa czy trzy oddzielne człony), ale o tych nieistotnych sprawach rozводить się nie warto. A co do jednostronności tematycznej, gdyby już o tem ktoś chciał mówić, wystarczy wskazać takie np. wiersze jak „Do mojej matki“ albo „Wiersz dziecięcy“, aby nad tym ewentualnym zarzutem przejść do porządku dziennego i uznać w Szymańskim liryka czystej wody, zdolnego do najbardziej subtelnych i serdecznych wzruszeń. Kto wie, czy w innych „warunkach konkretnych“ twórczość poety nie potoczyłaby się inną koleją — miękka i radosna, wzorzysta i różana.

*

Dla informacji podaję tytuły wydanych dotychczas zbiorów poezji Szymańskiego: „20 milionów“ (1932), „Do mieszkańców Marsa“ (1935), „Słońce na szynach“ (1937), „Piosenki robotnicze“ (1938). Prócz tego: „ABC“ (1936) — wiersze dla dzieci.

Bolesław Dudziński

KRONIKA RODU PASQUIER*)

Rodzina, do której wprowadza czytelnika Duhamel w swem wielkim dziele, nie jest rodziną przeciętną ani banalną. W jej obrębie mieszczą się ludzie tak różni, indywidualności tak skryształizowane i dobitnie określone, że samo skupienie ich w jednej powieści powoduje jej pełnię i wszechstronność. Bogactwo psychiczne tego ciasnego, zdawałoby się, kręgu rozsada od wewnątrz tę kronikę, ten rejestr wydarzeń, w którym każda postać dzwiewy własnym tonem. Każdy z rodu Pasquierów tworzy zamkniętą w sobie całość, różną od innych, i ten rodzaj „różności“ rozstrzygnie o losach poszczególnych członków klanu, stanowiąc zarazem najszczytniejszą legitymację ich powieściowego żywota.

Kronikę rodu Pasquier pisze w wieku dojrzałym jeden z jego członków, Laurent, uczony biolog, w szerokich rzutach odtwarzając lata, które już dawno zapadły się w przeszłość, lata w domu rodzinnym, w kręgu związanego z sobą mocno i spoiście klanu. Częściowo posługuje się przytem wspomnieniami, jakie pozostawił zabity w wielkiej wojnie jego przyjaciel, poeta Justyn Weil, Żyd. Cały tom czwarty jest powieściowo opracowanym pamiętnikiem Justyna, który Laurent, z małemi tylko zmianami, wciela do pisanej przez siebie historii. W sumie otrzymujemy jeszcze jedną sagę rodzinną, która epicką rozpiętością i dynamizmem tonu staje obok słynnej „Sagi Forsytów“ Galsworthy'ego i „Thibaultów“ Rogera M. du Gard.

Kroniką dusz nazwał Duhamel w pewnym miejscu swe dzieło — ów obraz, skomponowany barwami miłości i nienawiści. W istocie, pod wszystkimi faktami i zdarzeniami, pod niepozorną powłoką codziennego życia, wibruje mocno pewien dźwięk podskórny, nieuchwytny, przenikając karty tego wnikliwego cyklu rodzinnego. Jest to drganie dusz, wielogłos dusz, słabsza to znów mocniejsza muzyka i tony, które nabrzmiewają chwilami z taką siłą, że zdają się przebić i targać karty powieści. W rodzie Pasquierów dzieją się rzeczy dziwne i niezwykłe. Burzliwe namiętności charakterów wyławdują się w nagłych spieciach: brat nienawidzi brata za jego ubóstwanie pieniędzy; syn gardzi ojcem, odkrywając we wczesnej, wrażliwej młodości jedną z licznych przygód miłosnych tego szarmanckiego lekkoducha; ojciec, człowiek niewiarygodnie żywotny, żądną niezmożony klęską, krocząc z uśmiechem na oczach żony i dorosłych dzieci od jednej kochanki do drugiej, beztrosko, nieobarczony żadnym wyrzutem, jak wiatr zapładniający kwiaty; dzieci bronią się przeciw rozpuceniu ojca i jego wiarołomstwu wobec matki, pozywając go przed swój sąd i karząc, gdy skandal przybiera zbyt jaskrawe formy. A nad przypły-

wem i odpływem spienionych wirów rodzinnego życia unosi się, spowijając wszystko boskim całunem, muzyka, wielka, twórcza kościelka dusz, wyczarowana talentem młodej Cecylji, „służebnicy bożej“. Jej cudownie wiedzące i giętkie palce wywabiają z fortepianu całą potęgę i czar, cały smutek i radość, utajone w bezsłownej a jednak zdolnej wszystko wypowiedzieć sztuce. Muzyka szumi i dzwiewy w małych, ciasnych pokoiach, gdzie tuż obok siebie, sprężnieni tajemną spólną krwią, współżyją Pasquierowie. Muzyka zabarwia ich życie podniosłym akompaniamentem, nadaje rozgrywającym się wypadkom szlachetną dostojność i patos.

Sposób, w jaki Duhamel wprowadza bohaterów na karty książki, świadczy o niepospolitym kunszcie pisarskim. Zaraz w pierwszym tomie, w przedwójnej opowieści, zatytułowanej „Notariusz z Hawru“, gdzie protagonistą, rzucającym cień na życie całej rodziny, jest postać daleka i ani razu niepokazana, jakiż układ przejrzyści, jaka wspaniała symetria i rozplanowanie zdarzeń, jaka umiejętność wydobycia z najdrobniejszych rysów żyjącego, trójwymiarowego człowieka! Nic istotnego nie dzieje się w tym tomie. Rodzina Pasquierów czeka na spadek po ciocie — spadek uwarunkowany śmiercią dwóch siostr spadkobierczyni; czeka na list notariusza, mający prawnie stwierdzić tę śmierć. A przecie w tem całe lata trwającym wyczekiwaniu, nad którym ciąży jakiś złośliwy tragikomizm, zarysowują się już w pełni i jasno charaktery wszystkich członków rodziny: lekkomyślność ojca i jego igranie z pieniędzmi, obojętność Cecylji i Laurenta na sprawy materialne, zachłanność i doskonale wycucie potęgi pieniądza u późniejszego finansisty Józefa, bierna tępota Ferdynanda. Każdy z członków rodu reaguje inaczej, i ten pierwszy tom jest zarazem wyborną ekspozycją całości.

W podobny sposób rozwijają się tomy następne. Bogate w treści obejmują zawsze pewien przełomowy okres życia rodziny, dają przekrój tego życia, posuwając je w czasie o kilka lat naprzód. Przytem punkt ciężkości, osł główną wydarzeń przenosi się z osoby na osobę, zbliżając ku nam wszystkie pokolei. Jeśli zaś chodzi o pogłębienie psychologiczne i cyzelatorską robotę szczegółów, warto zwrócić uwagę choćby na przepiękną i arcyłudzka scenę tomu czwartego, kiedy towarzystwo zebrane w pałacu Józefa słucha gry Cecylji. Jak różne obrazy, nastroje i uczucia rodzi ta muzyka w sercach i unysłych słuchaczy. Jak dalekie od tego, czem ona jest istotnie w swej najgłębszej treści a jak bliskie najintymniejszemu przeżyciom i chwilowej dyspozycji słuchaczy. Jest to scena mistrzowska, napisana przez wielkiego poetę.

Ale jeszcze inna sprawa, bodaj ważniejsza wchodzi tu w grę. Chodzi nie tylko o sposób przedstawiania, chodzi o samo ujęcie tematu, a więc — w szerszej płaszczyźnie — o samo ustosunkowanie się do życia. Podziwialiśmy je już w cyklu o Salevinie, gdzie iście rosyjski ekshibicjonizm ujęty w żelazną dyscyplinę formy zamieniał się z belkotu w klasyczną prozę. Ten sam umiar i klasycyzm odnajdujemy po latach, o wiele dojrzałsze, w „Kronice rodu Pasquier“. Duhamel, jak żaden może z pisarzy fran-

cuskich, jednoczy w sobie te dwa pierwiastki: naga, okrutna i bezlitosna prawda życia z kryształowo czystą formą wypowiedzi. Można go przeciwstawić przedewszystkiem Céline'owi, u którego brudne i mętne sprawy nurzają się w mętnej i zwyrodniałym osoczu pisarskim (mam na myśli jego głośną powieść „Podróż do kresu nocy“). U Céline'a postać bałamuta-ojca, kłótnie rodzinne, straszna i obłąkana namiętność starożycia uczonego do młodej dziewczyny, byłaby z piekła rodem. Duhamel umie sublimować, umie i chce podnosić tragiczne, zagubione ostępy życia na poziom wyższy, uglądza nawet brzydotę subtelnych konturami formy, mówi półtonami i półsłowami tam gdzie zachodzi potrzeba. Nad jego książką leży ścisłość, owiewa ją atmosfera kultury człowieka, który wbrew wszystkiemu nigdy nie zwątpił w piękno.

A może dlatego tak piękna i pociągająca jest „Kronika rodu Pasquier“, że przenosi nas w świat przedwojenny, w ową epokę spokojną, statyczną, nie nabrzmiałą szczykami i wrzawą ścierających się namiętności, furi i obozów — epokę, w której indywidualność, dusza i talent znaczyły więcej w hierarchji spraw, aniżeli zbiorowy obłęd i masowa nienawiść. Nas dzisiaj, zagubionych w świecie, którego grozy i zamętu nie możemy, nie umiemy pojąć i ogarnąć, wspaniałe wskrzeszenie tej jakże niedawnej a należącej już do mitu dawności urzeka i oczarowuje. Tych zwłaszcza, którzy choćby z dzieciństwa pamiętają ten świat bezpowrotnie miniony, pogrzebany na zawsze hukami wystrzałów wojennych. Powieść Duhamela przenosi nas w ten świat, pełen uludy, iluzji i piękna, nie wiedzący, ku czemu idzie, ale zato otwarty szeroko na wszystkie strony, poddany wszystkim wiatrom i zapładniany wszystkimi ideami.

Wanda Kragen

Jan Gw. Pawlikowski

W 1900 r. zwołał J. G. Pawlikowski we czwartek na godzinę ósmą do małego lokalu przy ul. Zielonej najrozmaitszych ludzi z inteligencji, których uważał za przedstawicieli kultury Lwowa. Byli tam artyści, lekarze, profesorowie, kierownicy i kierowniczk szkół, aktorzy i literaci wszelkich odcieni i przekonań. Zagajenie było znamienne. J. Gw. Pawlikowski zaznaczył, że to zebrane towarzystwo mogłoby czasami uczuwać potrzebę wypowiedzenia się w sprawach, które leżą poza ich codziennym zajęciem. Ten zawód, który zapewne nudził się trochę wykonawcom, wymaga może pewnego odłożenia bodaj na jeden wieczór. Zamiast iść do kawiarni i spotykać zawsze te same osoby, choćby tych samych przyjaciół, możeby lepiej było móc się wygadać o rzeczach nie leżących w zakresie zajęć codziennych, nie mówić raz o tem, co znamy i co dobrze umiemy, ale o tem, czego nie znamy i czego nie umiemy.

Zastrzegł się J. Gw. Pawlikowski, że nie ma zamiaru pielegnować dyktantyzmu, że nie lubi tych „wachaczy“, którzy nie nie umieją a o wszystkim lubią mówić. Przeciwnie, zgromadzenia te będą dla tych, którzy mają fach, znają swój fach, ale przede mają pewną słabość dla nauki, czy zagadnienia innego, leżącego poza ich specjalnością, poza ich codziennym zajęciem. Więc chemik nie ma mówić tu o chemii, tylko o muzyce, profesor astronomji o malarstwie, ekonomista o poezji, malarz o higienie. Ta inicjatywa, tak bardzo odmienna od zwykłych, znalazła w tem kole szczerze uznanie i zrozumienie. Powstał „Związek Naukowo-Literacki“, który przez dziesięć lat jednoczył kwiat inteligencji Lwowa, prawdziwie kulturalnych ludzi, zbliżał i zaznajamiał mądrych z mądrymi. Przewodniczyli mu J. Gw. Pawlikowski, Jan Kaspro-wicz, Marjan Gawalewicz, Zygmunt Wasilewski i inni. Mówcami byli prócz prezesów, Kotarbiński, Tadeusz Pawlikowski, Kaspro-wicz, Iwan Franko, Marcin Ernest, Roman Dmowski i w. inn. Ktokolwiek godny uwagi nawiedził Lwów, oprócz się musiał o Związek Naukowo-Literacki; tu się rozważało nowe myśli społeczne, tu się rodziły nowe projekty wystawy teatralnej. Przyby-szewski i Nystrem, Brandes i Staff byli gośćmi i poznawali wybitnych ludzi ówczesnego społeczeństwa. Tak przeżyliśmy lat dziesięć, mieliśmy czytelnie i cenniejsze nad wszelkie czytelnie czwartkowe wieczory. Poznaliśmy mistykę Świackiego w interpretacji naszego założyciela, poznaliśmy najnowsze dzieła literatury skandynawskiej, francuskiej, rosyjskiej, tu powstała myśl założenia parku narodowego w Zakopanem, tu omawiano style ludowe i teatr Maetlincka.

Z czasem zmienili się ludzie, zmienili się czasy. Ci, których jednoczyło to „co ludzkie i żadnemu człowiekowi obce nie jest“, stali się stronnikami zapatrywań na dziś, stronnikami partji i kiedy po wojnie ten sam, a przecież inny już J. Gw. Pawlikowski próbował nawiazać do tradycji Związku jakieś zebrania i odczyty, rzecz się rozchwiała i nie udawała się. Ale zostało wspomnienie i przykład. Wspomnienie człowieka o wielkiej istotnej kulturze, człowieka naprawdę wszechstronnego, o niezmiernie szerokiej sferze zainteresowań, człowieka uspołecznionego, wychowawcy w najgłębszym słowa tego znaczeniu. Do laurów, którymi trumnę jego zdobią, niech się dołączy ten niepośledni, może najpiękniejszy.

Wacław Moraczewski

**Czas odnowić
prenumeratę**

KORESPONDENCJA

O GODNOŚĆ CZŁOWIEKA

Do redaktora „Sygnałów“

Wiele pisano już o „wyczynach“ młodzieży spod wiadomego znaku na uniwersytetach i uczelniach. Wiele przemówień i odczytów wygłosili profesorowie i przedstawiciele świata intelektualnego, piętnując te rozruchy.

W styczniu r. b. ukazał się w „Robotniku“ świetny artykuł Wandy Wasilewskiej; „Młodości, ty nad poziomy...“, omawiający stan w szkole im. Wawelberga i Rotwanda. Wasilewska wyszydzając naszych „narodowych bohaterów“ i ich awantury w tej szkole wybudowanej przez Żydów i za żydowskie pieniądze — woła: „Albo korzystać z czyichś dobrodziejstw — i wtedy szanować jego wolę — albo konsekwentnie zrezygnować, nie uznawać możliwości kształcenia się z łaski Żyda“.

O tejże samej uczelni i historii jej założenia pisze w nr. 62 „Sygnałów“ Konstanty Anselm w artykule: „Symbol hańby i ghetto“.

„Pod naciskiem zaborczego chamstwa“ — władze uczelni wprowadzają podziały gheftowe. We wszystkich wyższych szkołach, kastetami i nożami młodzież „oenerowska“ toruje sobie drogę naprzód. Nie przeminęło jeszcze echo napadu na uniwersytecie lwowskim, nie zmyta została krew dwóch studentów żydowskich, którzy zginęli w obronie swych praw — człowieka i obywatela — a już przygotowane są „tygodnie bez Żydów“. Fale anarchji i zdziczenia potęgują się z każdym dniem. Propaganda hasła ma swe ujęcie w realizacji programu nienawiści.

Jakąż była reakcja ze strony władz uczelnianych na awantury, gwałty, terror bojówek?

A jakimż echem odbiły się po kraju słowa wypowiedziane przez ministra oświaty prof. Wojciecha Świątosławskiego na komisji budżetowej Sejmu w dniu 26 stycznia r. b.

„Elementy te w ulotkach rozsiewają kłamstwa i rzucają potwarze, dążąc do wytworzenia stałego niepokoju i usiłują nadal wnosić anarchję do życia szkół akademickich. W ręku tych jednostek każdy środek, aż do używania tępych i ostrych narzędzi metalowych, jest dobry. Stwierdzono też wielokrotnie, że napadano na bezbronnych studentów Żydów a nawet chrześcijan, o ile ci odnosili się krytycznie do stosowanych metod, nieśli Żydom pomoc lub chcieli siedzieć razem z nimi. Doszło nawet do rozlewu krwi, co gorzej zająca pociągnęły za sobą ofiarę dwóch młodych istnień ludzkich“.

Lecz prasa endecka zupełnie przemilczała przemówienie p. ministra Świątosławskiego. Ona dalej nawoływać będzie do „tygodni bez Żydów“ a jest rzeczą znaną, co za tem się kryje.

Tylko zdecydowana postawa społeczeństwa, milującego wolność i część dla nauki i kultury i z troską patrzącego na jej rozwój i przyszłość, może położyć kres haniebnym rozruchom i średniowiecznemu gheftu na uczelniach, dla obywateli innej narodowości.

Michał Chudy (Sierpe)

O „NAGRODZIE DEBJUTANTÓW“

Do redaktora „Sygnałów“

W nr. 63 „Sygnałów“ Wiktor Bastrzyk, kierowany niewątpliwie szlachetną myślą przyjścia z pomocą początkującym pisarzom chłopskim, którzy pracują w warunkach więcej niż rozpaczliwych: są odcięci od świata artystycznego, nie mają bibliotek i czytelni, rzucił projekt utworzenia „nagrody debjutantów“ w formie zapomogi pieniężnej.

Nie wiem, co o takim projekcie myślą młodzi pisarze chłopscy, jestem jednak zdania, że podobny projekt jest całkowicie zbyteczny.

Każdy bowiem debjutant, bez względu na to, czy pochodzi ze wsi czy też z miasta, skoro tylko w dorobku swoim posiadać będzie osiągnięcia artystyczne wysokiej klasy — znajdzie, w takiej lub innej formie poparcie materialne: otrzyma nagrodę na jednym z konkursów, ukaże się drugie lub trzecie wydanie jego powieści lub też tomiiku poezji, nastąpi to i owo, wreszcie zacznie go drukować nie tylko „klerykalna gazeta“.

Autorowi projektu nie chodzi chyba o utworzenie „nagrody debjutantów“ dla czeredy grafomanów, cisnących się do redakcyj pism?

Nie wyzebranego płaszcza potrzeba dla początkujących pisarzy chłopskich, ale czego innego. Czy nie należałoby raczej czynić starania o to, aby stworzyć na prowincji dogodne warunki dla pracy umysłowej? Niechby do naszych wiosek i miasteczek wyruszyły wędrowne biblioteki zaopatrzone w arcydzieła światowej literatury?

Niechby ci, którzy spędzają czas na wstydliwem poziewaniu, rozprzestrzeniaли myśl tworzenia czytelników — światlic, w których możnaby wzbogacać swój umysł!

Przyniosłoby to niewątpliwie korzyść największemu masom ludności. Nieprawdą bowiem jest, że ludzie stronią od książek. Po co te ustawiczne biadolenia wydawców? Pójdźcie z książką na prowincję, a przekonacie się, jaki tam istnieje głód słowa drukowanego. Czytelnik na prowincji, to najlepszy przyjaciel książki. Nie winicie go, że często nie może pozwolić sobie na kupno „ostatniej nowości“, ale często potrafi odmówić sobie najniezbędniejszych rzeczy, by kupić półkę, na której ustawiając swoje skarby rozmyśla nad tem, jak wygląda ten co napisał takie rozgrzewające słowa? Jaki woli krawaty? I czy np. autor „Orki na ugorze“ zechciałby rozmawiać z nim — prostym urzędnikiem pocztowym?

Dla niego pisarz jest przede wszystkim mitem. Nigdy go w tej przekłetej dziurze prowincjonalnej nie widział. A tak pragnąłby go nieraz zobaczyć, usłyszeć jego głos, spojrzeć w jego oczy i przekonać się, czy jest taki sam, jak w tej książce?

Tutaj muszę postawić zarzut pod adresem stołecznej akademji „nieśmiertelnych“, która dotychczas nie prawie nie uczyniła dla idei zbliżenia czytelnika z autorem. Czas najwyższy zerwać już z ogólnie przyjętym mniemaniem, że tylko bokserzy i kopacze piłki nożnej potrafią entuzjazmować masy.

Niepokoji mnie tylko jedno: czy panowie z Akademji zechcą zadać sobie trud zorganizowania prymitywnych chociażby „wieczorów autorskich“ w różnych zakątkach kraju, skoro tak wygodnie jest tkwić dostojnymi siedzeniami w miękkich, klubowych fotelach.

Józef Bielicz (Warszawa)

SPROSTOWANIE

Do redaktora „Sygnałów“

W artykule moim „Sprawa dziecka w literaturze“ („Sygnały“, nr. 64) znalazły się następujące błędy:

- 1) Str. 1, szpalta 4, wiersz 13 oddołu: zamiast „chłopa do szkoły“, powinno być „chłopca do szkoły“;
- 2) str. 2, szpalta 1, dopisek 2, zamiast: „niejedno o młodzieży mogliby poznać“, powinno być: „niejednego o młodzieży mogliby się dowiedzieć“;
- 3) str. 2, szpalta 1, wiersz 23 oddołu: zamiast „potęgę“, powinno być „postęp“.

Stanisław Baczyński (Warszawa)

SPROSTOWANIE

Do redaktora „Sygnałów“

W artykule moim „Zagadnienia religijne“ wkraśli się błędy: w spalcie 1, w wierszu 54—55 zamiast „analogiczno-porównawczych“, powinno być „etnologiczno-porównawczych“; w spalcie 2, w wierszu 40 oddołu zamiast XXV, powinno być: XXVII (numer rozdziału w ewangelji św. Mateusza).

Zygmunt Jarosz (Warszawa)

*

J. E. Warszawa. List zamieszczamy.

Z. Z. Warszawa. Czytamy w Waszym liście:

„Proszę przyjąć serdeczne życzenia rozwoju pisma. Jestem niem zachwycony, szczególnie zajęta mnie polemika na temat materializmu dialektycznego. Zbieram grupy chłopców i dziewcząt, aby czytać razem trudniejsze artykuły. Z niecierpliwością oczekujemy każdego nowego numeru. Mimo złych warunków zdobyłem się na prenumeratę. Mam nieśmiałą prośbę: chcemy z „Sygnałów“ więcej dowiedzieć się o życiu chłopów i strukturze społecznej współczesnego mieszczaństwa“. Dziękujemy gorąco za miłe słowa. Życzenia postaramy się uwzględnić. Z przyczyn od redakcji niezależnych nie będziemy drukowali artykułów St. Wodwicza.

N. M. Lwów. Wiersze jeszcze nie do druku.

Gnom. Lwów. Prosimy o podanie adresu.

N. Zdz. Lwów. Wiersz „Wiosna“ nie będzie drukowany.

M. N. Poznań. Z nadesłanych wierszy i przekładów nie skorzystamy.

Gil. Lublin. Dziękujemy za ciekawe uwagi. Żałujemy że powodu braku miejsca nie możemy z nich skorzystać. Prosimy o dalszą pamięć i zasyłamy pozdrowienia.

J. S. Warszawa. Dziękujemy za list, nie możemy go jednak umieścić, musimy bowiem zamknąć dyskusję. Mamy nadzieję, że jeszcze do spraw tych powrócimy.

F. A. Warszawa. Z artykułu „Twardy orzech“ nie skorzystamy.

H. Sm. Lwów. Z fragmentów powieści nie skorzystamy.

D. Ber. Lwów. Wiersza „Przedwiośnie“ nie będziemy drukowali.

S. J. L. Lwów. Wiersze jeszcze nie do druku.

Stanisław. Nie. Może coś z satyry.

J. B. Lwów. Z artykułu „Niemiecka emigracja a kultura“ nie skorzystamy.

L. Cz. Warszawa. Otrzymaliśmy za późno. Obecnie już nieaktualny.

„Rok 1939“. Z wierszy nie skorzystamy. Naogół niecenzuralne. Za miłe słowa serdecznie dziękujemy.

DETERDING

„Völkischer Beobachter“ z dnia 11 lutego 1938 podaje: „W Dobbin w Meklemburgji pochowano uroczysto w piątek zwłoki Henry Deterdinga, wiernego przyjaciela narodowo-socjalistycznych Niemiec. W czasie uroczystości żałobnych w gronie rodzinem, gauleiter Hildebrand złożył z polecenia Führera wieniec na grobie Deterdinga“.

Kim był ów pełen zasług „Volksgenosse“, którego nawet po śmierci tak zaszczytnie wyróżnił wódz niemieckiego narodowego socjalizmu?

Był europejskim królem naftowym, holenderskim wielkim kupcem. Wyniesiony do stanu rycerskiego przez Anglię (Gott strafe England!) za zasługi przy dostawie nafty dla floty angielskiej w czasie wojny światowej, był spekulantem i graczem na wielką skalę podobnie jak jego przyjaciel Zacharow i partner - przeciwnik Rockefeller. Był jednym z największych krętaczy z powodzeniem ciągnących zyski z monopolistycznego imperjalizmu. Najbogatszym człowiekiem kontynentu, najbardziej typowym reprezentantem „żarłocznego kapitalizmu“ był ten, którego uwiecznił wódz narodowo-socjalistycznych Niemiec. Ale sir Henry, „wierny przyjaciel narodowo-socjalistycznych Niemiec“, był też za życia ściśle związany z Żydami. Nie z tymi nieszczęsnymi, na których może się dziś wyładowywać sadyzm hitlerowców, lecz z tymi przedstawicielami światowego żydostwa, którzy zasiadając w kręgu międzynarodowej wielkiej finansjery jako prawdziwi „mędrcy Syjonu“ wpływają rozstrzygająco na losy świata.

Pierwszy swój wielki sukces: połączenie holendersko-indyjskich przedsiębiorstw naftowych Royal Dutch z angielskimi firmami Shell Transport i Trading Company w osławiony koncern naftowy Royal Dutch-Shell, zawdzięcza on swojej współpracy z szefem firmy Shell, Żydem Markusem Samuelem. Jego słynną walkę z amerykańskim Rockefellerem o podział światowego rynku naftowego, jego Standard Oil finansowali paryscy i londyńscy Rothschildowie. Ręce tego przyjaciela „Führera“ noszą ślady krwi tysięcy powstańców Meksyku i Wenezueli, i tych, którzy za panowanie nad światem Royal-Dutch-Shell musieli oddać życie w walce z jawnie przez Deterdinga popieraną interwencją białogwardzistów w Rosji. Ponieważ tutaj właśnie poniósł pierwszą wielką porażkę w swoim pełnym sukcesów życiu, gdy nie udało mu się przy pomocy najemnych żołdaków zdobyć kaukaskich pokładów naftowych, których mu odmówiła Rosja, porażkę, której nigdy nie mógł przeboleć, stał się przyjacielem i rzecznikiem wszelkiej reakcji, gdziekolwiek i pod jakąkolwiek postacią występowała w świecie. On był tym, który zwlekał z wstrzymaniem dostaw nafty Włochom w czasie wojny abisyńskiej, pozbawiając w ten sposób skuteczności ustanowionych sankcyj. On był tym, który hiszpańskiemu spekulantowi Juanowi Marchowi udzielił kapitałów dla przeprowadzenia faszystowskiego puczu. Od niego pochodziły największe sumy, które umożliwiły Hitlerowi objęcie władzy. On był przyjacielem i doradcą owego „Cliveden Set“, tego klanu arystokratów, władców prasy i królów giełdowych, którzy w istocie wyznaczali politykę wielkiego Chamberlaina.

Henry Deterding wejdzie obecnie zapewne do narodowo-socjalistycznych podrećników jako ideał polityka, który z syna holenderskiego majtką, dzięki pilności i przedsiębiorczości stał się, poprzez zwykłego praktykanta w amsterdamskim banku, kierownikiem światowej gospodarki. Ideał godny naśladowania przez każdego hitlerowca. Dla nas jednak wieniec „Führera“ na grobie Deterdinga jest niezrównanym symbolem łańcucha opłatającego faszyzm i wielki międzynarodowy kapitał, spajającego ich losy w jedną, nierozzerwalną całość.

Znachor polityczny

A. Tyktin. Demokratyzm, marxizm, uniwersalizm. Przekład Kaziego Oripasza. Warszawa, M. Fruchtman, 1939; str. 95 i 1nl.

Wszystko jest tu niewymownie śmieszne: poglądy autora, sposób argumentacji, przedmowa tłumacza, przekład, pisownia, błędy drukarskie i wreszcie pseudonim tłumacza. Gdy jednak z nazwiskiem Kazi Oripasz można sobie poradzić, czytając je od końca, to sama książka czytana we wszystkich kierunkach jest beznadziejna.

Jakiś znachor wymyślił sobie, że dobrze. by było gdyby istniało tylko jedno wszech-

światowe państwo, z jedną gospodarką, jedną walutą i jednym rządem i proponuje stroskanej ludzkości, aby tak właśnie się urządziła, wtedy uniknie wszelkich konfliktów społecznych i wojen. Drogi urzęczywistnienia są proste: przedewszystkiem „produkcyjna propaganda“, „dalsze zaś skutki nastąpią w drodze naturalnej, przy pomocy progresywno-materjalnej ewolucji“. Autor wymienia mnóstwo zalet ustroju uniwersalnego i przy tej okazji rozprawia się z marxizmem, demokratyzmem, imperjalizmem, kryzysem kultury i t. d. Wszystko jest w tej książce: witaminy, Leon Blum, krwiozercze zwyczaje Azteków, mity helłeńskie, Liga Narodów, pomidory, nadwartość i front ludowy. Z marxizmem rozprawił się autor bez trudu: „Przyjmując pogląd Marxa, że nadwartość jest jedyną przyczyną zapewnijającą pracodawcy zyski i wzbogacającą go stale, należałoby widzieć tylko rozrost i zwiększenie przedsiębiorstw. Tymczasem masa zakładów podupada, powodując ruinę właścicieli“... Zlikwidowawszy teorię nadwartości na str. 25, autor likwiduje teorię koncentracji na str. 26 argumentem wręcz przeciwnym: „Wielkie przedsiębiorstwa nie tylko nie zniszczyły mniejszych zakładów, lecz wręcz przeciwnie, te ostatnie stale się rozwijają i skutecznie konkurują z potężnymi rywalami“. Dzieje się tak m. in. dlatego, gdyż „właściciel średniego lub małego przedsiębiorstwa ma dokładną znajomość całego swego zakładu, co umożliwia mu regulowanie produkcji, polepszanie jej jakości i udostępnienie ceny“. A oto jak Tyktin zlikwidował walkę klas: „Upadek teorii nadwartości obala też teorię eksploatacji, którą ona wywołała. Wobec tego następuje zanik przyczyny wywołującej walki klasowe i wytworzącej nienawiść robotników do pracodawcy“. Wspaniale wypada tyktinowska wizja przyszłości: „Według wszelkiego prawdopodobieństwa obca będzie państwu uniwersalnemu kategoria ludzi miliardów. Miljonery może pozostaną, liczba ich jednak zredukuję się do minimum“. Tyktin najwidoczniej nie chce zadzierać z loterią państwową.

Tłumacz dołożył wszelkich starań, ażeby poglądy autora należycie ośmieszyć. Próbką stylu: „Pomimo obdarzenia Marxa przez naturę genialnym umysłem i pomimo posiadania niebywałego wykształcenia, wielkość jego poglądów w praktyce nie wytrzymała krytyki“. Państwa, które nie roszczą sobie pretensyj terytorjalnych to według Oripasza: „państwa bezpretensjonalne“; „w powietrzu unosi się zarzewie zwrotu na prawo“; niektórzy ludzie mają „skłonności rolne“, inni popełniają „czyny przestępne“. Absolutyzm „nie dopuścił tłumowi do udziału w rządach“; „rozwoj intelektualny tłum“; „własność na środkach produkcji“; „polityczno-partyjna samodziאלność“. Prawie wszystkie nazwiska obce są dziwacznie poprzekręcane: Coudenrove-Kalergi nazywa się stale Kudenhawe-Kollergi, Waldeck-Rousseau pisze się Waldek-Rouso. Pisownia wykazuje zresztą rozliczne dziwactwa: „w Abisini“, „Rosia“, „aneksie“, ale nawet w błędach brak konsekwencji. Błędów drukarskich obfitość nieprzebrana. Fakt, że dostrzeżono ich tylko 10, zakrawa na jeszcze jeden dowcip.

Do tyktinowskich planów reformatorskich zachęcić może jeden tylko punkt uniwersalnego programu: „Obowiązkami uniwersalnego państwa będzie ogłaszanie drukiem rękopisów, stojących na odpowiednim poziomie literackim lub naukowym“. Twórca uniwersalizmu nie będzie więc mógł drukować swoich prac. Słuszny postulat. Tymczasem jednak propaganda tyktinizmu zakrojona jest na szeroką skalę. W przedmowie tłumacza czytamy: „Przekład esperancki, będący w przygotowaniu, umożliwi uświadomienie ludności całej kuli ziemskiej, jak wielkim dobrodziejstwem jest dla człowieka idea uniwersalizmu“. W kraju rozprzedażą książki Tyktina zajmują się niektóre kioski z gazetami. Propaganda nie jest groźna i możnaby całą sprawę pominąć milczeniem, ale zwykła przyzwyczajność wymaga aby potępić tego rodzaju poczynania autora, nie znającego tematu, i tłumacza, nie znającego języka polskiego. Czytelnik odnosi wrażenie, że ktoś sobie z niego zakpił. Chałupnictwo myślowe, polityczne znachorstwo, szkodnictwo językowe i drukarskie niechlujstwo: to za wiele na jedną książkę.

Paweł Konrad

W najbliższym, 12-stronicowym numerze „Sygnałów“ znajdą się m. in. prace:

Jerzego Boreiszy, Przemysława Brzeskiego, Marjana Czuchnowskiego, St. R. Dobrowolskiego, B. Dudzińskiego, L. Fokszańskiego, Fr. Gila, H. Górskiej, Z. Jarosza, L. Kruczkowskiego, J. Krajewskiego, J. N. Millera, J. Putramenta, E. Szymańskiego, J. Wittlina.